NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 33 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. **Kraków, 28 czerwca 1913.** **Nr. 26.**

Straszny czyn obłąkanego.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi.

Z numerem dzisiejszym kończymy **II-gi** kwartał dziesiątego roku naszego wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty do dnia **5 lipca** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 83.**

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Półrocznie	8 K.	8·50 Mrk.	5.20 Rbs.
Kwartalnie	4 „	4·25 „	2·60 „

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Galicyi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra w Warszawie

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Straszny czyn obłąkanego.

(Do illustracyi tytułowej).

Jednem z najstraszniejszych nieszczęść, jakim podlega ludzkość, jest choroba władz umysłowych — szaleństwo. Człowiek dotknięty tą chorobą nie tylko sam jest stracony, ale staje się niebezpiecznym dla otoczenia, jest istotą, która musi być wykluczoną ze społeczności pod groźbą strasznych następstw. Obłąkanie bowiem przybiera często formy zbrodniczego szału. Szaleniec, owładnięty manią niszczycielską, rzuca się na ludzi, zabija i niszczy, nie posiadając zupełnie świadomości zbrodni, powodowany jedynie wewnętrznym obłąkańczym popędem.

Przed kilku dniami w mieście niemieckiem Brema ofiarą takiego szaleńca padło 21 osób. Do szkoły katolickiej im. św. Maryi wpadł podczas nauki obłąkany mężczyzna, nazwiskiem Schmidt i dobywszy rewolweru, zaczął strzelać do nauczycieli i zgromadzonych dziewcząt. Zanim zdołano szaleńca obezwładnić, kule jego trafiły 21 osób, z których kilka odniosło rany śmiertelne, sześć zaś dziewcząteк zginęło na miejscu.

Szaleniec po walce został ubezwładniony, a przy rewizyi znaleziono przy nim dziesięć nabitych browningów. Jest on synem pastora ewangielickiego i jak badania wykazały, zawsze był skłonny do obłąkania.

Na wiadomość o strasznym czynie przed szkołą zgromadziły się tłumy publiczności, które chciały rozszarpać mordercę. Policya z dobytą bronią musiała go bronić.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia napad szaleńca na dziatwę w szkole.



Warsztaty studenckie w Krakowie: Wystawa prac uczniów szkół średnich. (X) Kierownik warsztatów p. Orszulski.

Warsztaty studenckie w Krakowie.

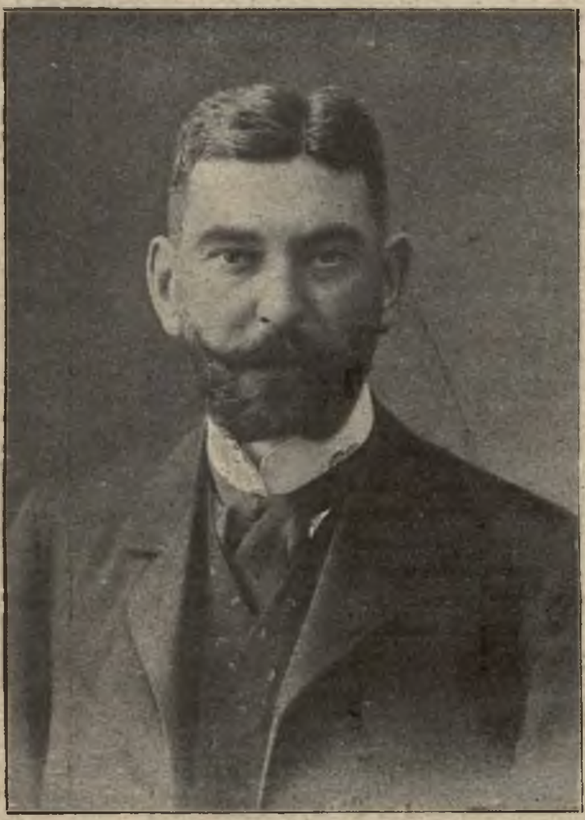
W tych dniach otwartą została w Krakowie wystawa prac uczniów szkół średnich z zakresu stolarstwa, tokarstwa, koszykarstwa, modelowania i introligatorstwa. W kilku salach warsztatów stu-



Sufrażystki przy pracy: Demonstracyjny pogrzeb miss Davison, która zginęła na wyścigach w Londynie pod kopytami dobiegającego mety konia królewskiego.

denckich, mieszczących się przy ul. Podzamcze l. 30, zgromadzone zostały bardzo ciekawe rezultaty pracy ręcznej uczniów z krakowskich gimnazyów i szkół realnych.

Pod kierownictwem p. Teofila Orszulskiego przy współudziale pp. Warchałowskiego, Kownackiego, Dziedzica i Rejowskiego pracują uczniowie dobrowolnie w godzinach popołudniowych, wykonywując nader udatnie najrozmaitsze przedmioty do praktycznego użytku, nieraz o artystycznym wyglądzie. Należy też podnieść z uznaniem te wysiłki młodzieży, która w chwilach wolnych od nauki z tak pomyślnym skutkiem oddaje się pracy ręcznej w warsztatach, odnosząc z tego podwójną korzyść. Przedewszystkiem młodzież nabiera należytego wyobrażenia o pracy rzemieślniczej, uczy się ją szanować, a także i tych, którzy się tej pracy zawodowo oddają. Nadto uczeń zapoznaje się z materyałem, narzędziami, kształci się fizycznie, wyrabia w sobie samodzielność i praktyczną obrotność.



Szpieg-złodziej przed sądem krakowskim: Przewodniczący trybunału radca dr. Ajdukiewicz.



Szpieg-złodziej przed sądem krakowskim: Rozprawa przeciw Andrzejowi Rachwałowi, który wykradł karabin maszynowy: Trybunał i oskarżony.

Młodzież garnie się bardzo chętnie do warsztatów, czego dowodzi liczba około 200 pracujących, a byłoby ich nierównie więcej, gdyby zarząd warsztatu nie był zmuszony dla braku miejsca ograniczać liczbę chętnych do pracy.

Rozwijające się tak pomyślnie warsztaty dla uczniów szkół średnich w Krakowie, założone zostały, jak wiadomo, przez nieodżałowanej pamięci ś. p. dra Jordana, a obecnie są utrzymywane przez miasto.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy jedną z sal wystawy z kierownikiem warsztatów p. Orszulskim.

Sufrażystki przy pracy.

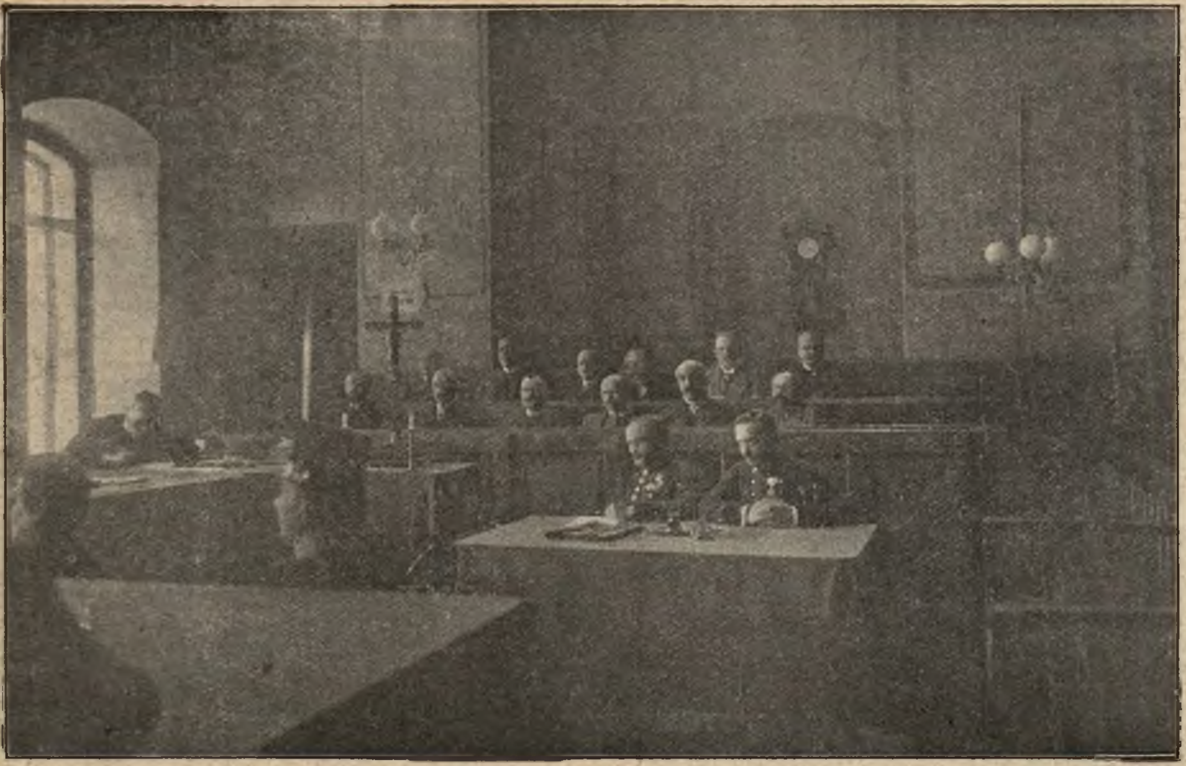
Sufrażystki angielskie nie próżnują... Każdy dzień przynosi wiadomości o ich szaleństwach, popełnianych w imię „idei równouprawnienia kobiet". Jak donosiliśmy już w jednym z poprzednich numerów, sufrażystka Davison rzuciła się na wyścigach w Londynie pod kopyta konia tuż przed metą i odniosła tak ciężkie obrażenia, że po kilkodniowych męczarniach zakończyła życie. Pogrzeb miss Davison stał się też olbrzymią manifestacyą wojowniczych niewiast angielskich. Wszystkie sufrażystki wystąpiły na pogrzebie w białych kostyumach, z liliami w rękach i tłumnie odprowadziły ofiarę swych szaleństw na miejsce wiecznego spoczynku.

Równocześnie prawie dokonały sufrażystki nowego aktu gwałtu. Mianowicie spaliły trybunę z lożą królewską na torze wyścigowym w Park Hurst.

Nie ustając w swej niszczycielskiej pracy, zwolenniczki szerokich praw dla kobiet chcą w ten sposób wywalczyć uznanie swych żądań. Nie ulega jednak wątpliwości, że ta równie fanatyczna, jak bezmyślna walka wywołuje w społeczeństwie angielskiem skutek wprost przeciwny. Choć histerya „cuda działa" i z muchy potrafi zrobić lwicę, ale tylko... na chwilę. Gdyby sądzić o kobietach z czynów sufrażystek,



Zjazd wychowańców Sobieszyńskiej szkoły rolniczej: Uczestnicy zjazdu w sali hotelu „Bristol" w Warszawie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Szpieg-złodziej przed sądem krakowskim: Rozprawa przeciw Andrzejowi Rachwałowi, sprawcy kradzieży karabinu maszynowego: Ława przysięgłych.



Szpieg-złodziej przed sądem krakowskim: Andrzej Rachwał, skazany na pięć lat ciężkiego więzienia.

należałoby myśleć nie o ich równouprawnieniu politycznem, ale o skutecznych środkach leczniczych przeciw masowym objawom niewieściej histeryi... Na szczęście, olbrzymia większość kobiet potępia te wybryki i poważnie pracuje nad zdobyciem należnych im praw w życiu społecznem i politycznem.

Szpieg-złodziej przed sądem krakowskim.

Sądy w Galicyi od dłuższego czasu mają dosyć niemiłe zajęcie. Policya galicyjskich miast wyłapuje wciąż szpiegów wojskowych i politycznych, a sądy muszą przeprowadzać obszerne dochodzenia i rozprawy szpiegowskie.

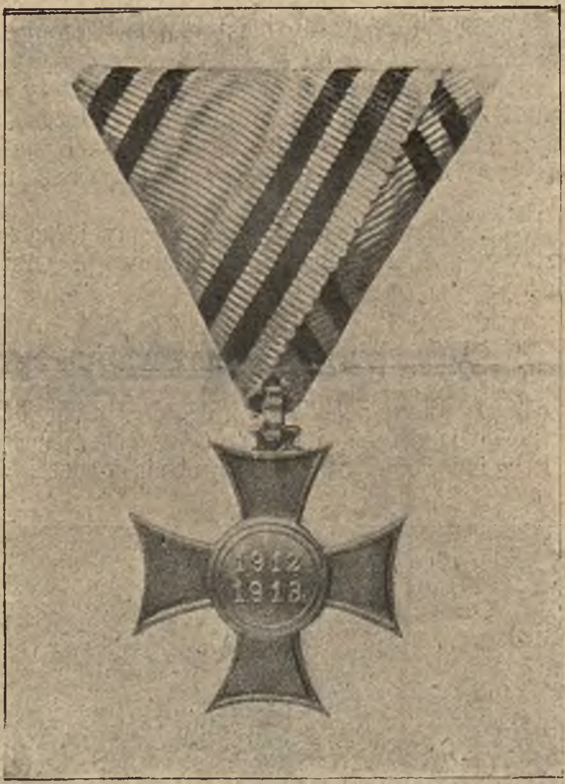
Przed kilku dniami przed sądem przysięgłych w Krakowie toczyła się sensacyjna rozprawa. Szło o kradzież karabinu maszynowego z koszar wojskowych przy ul. Zwierzynieckiej w Krakowie. Kradzieży dopuszczono się w sposób bardzo śmiały. Przy pomocy dwóch żołnierzy zdołał karabin wykraść szpieg Andrzej Rachwał i ukrywszy go w worku, usiłował przez Mysłowice wywieźć za granicę. Kradzież spostrzeżono dosyć wcześnie, a policya aresztowała złodzieja-szpiega.

Stanął on obecnie przed sądem przysięgłych w Krakowie. Trybunałowi przewodniczył radca dr. Ajdukiewicz, oskarżał prokurator dr. Marowski, bronił adwokat dr. Rappaport.

Rozprawa udowodniła usiłowanie szpiegostwa, a werdykt sędziów przysięgłych skazał Rachwała na pięć lat ciężkiego więzienia.

Pamiątka niedoszłej wojny.

W ciągu ubiegłych kilku miesięcy żyliśmy pod znakiem wojny — nie tej, która zbierała krwawe żniwo na Bałkanach, ale która, na szczęście, nie wybuchła — wojny europejskiej, która, jak się zdawało, „wisiała w powietrzu"... Za ten nastrój wojenny najdrożej zapłaciła Austrya i Galicya... Pogotowie wojenne pochłonęło miliardy i jeszcze większe



Pamiątka niedoszłej wojny: Świeżo nadany armii austro-węgierskiej krzyż dla uczestników „bałkańskiej" mobilizacyi.

straty, jakie poniosła ludność w kryzysie wojenno-ekonomicznym. Wszyscy ci, których alarmy wojenne ostatnich miesięcy najbardziej wykoleiły z normalnego trybu życia, bo powołały pod broń w zmobilizowanych oddziałach — otrzymali obecnie pamiątkę tych wojennych wstrząśnień w postaci specyalnej odznaki, ustanowionej przez rząd austryacki dla tych wszystkich „wojaków", którzy wprawdzie nie powąchali jeszcze prochu, ale przeżyli gorączkę przygotowań wojennych, wywołanych zawieruchą bałkańską.

Turniej szermierczy.

Szermierka, której z takim zapałem oddawali się nasi ojcowie, a która zeszła na plan drugi w szeregu nowoczesnych sportów, jakim oddaje się zarówno młodzież, jak i starsi, zaczyna obecnie znów zyskiwać coraz więcej zwolenników. Szerzeniem tego pięknego i rycerskiego sportu zajmuje się bardzo skutecznie krakowski klub szermierzy, który szybkim krokiem posuwa się z roku na rok w swym rozwoju. Przypisać to należy przedewszystkiem wytrawnemu kierownictwu nauczycieli, jakimi są szermierze tej miary, co emerytowany fechtmistrz wojskowy p. Antoni Bąkowski i znany amator p. Winkler.

Tegoroczny zwłaszcza turniej klubu, urządzony w dniu 15 czerwca b. r., dał wyniki, chlubnie świadczące o pracy nauczycieli i uczniów. Wyniki walk na florety i pałasze były następujące. We florecie pierwszą nagrodę zdobył p. Hrebenda (medal złoty i nagroda honorowa br. Götza Okocimskiego), drugą p. Ader (medal srebrny), trzecią p. Raciborski (medal bronzowy). W zawodach na pałasze przy licznej bardzo konkurencyi ośmiu współzawodników wybiło się na plan pierwszy, a mianowicie pp.: Papee K. (medal złoty i nagroda honorowa br. Götza Okocimskiego), Mikucki T. (medal złoty mniejszy i nagroda horowa Dr. Bielawskiego), Sroczyński J. (medal srebrny duży), Ader, Konopka, Macudziński B. (med. srebr. mniej.), Hrebenda i Murdzieński (med. br.).

Zachęcony tymi wynikami, krakowski klub szermierzy powinien urządzić krajowy turniej szermierczy, któryby bez wątpienia przyczynił się do rozwoju polskiej szermierki.



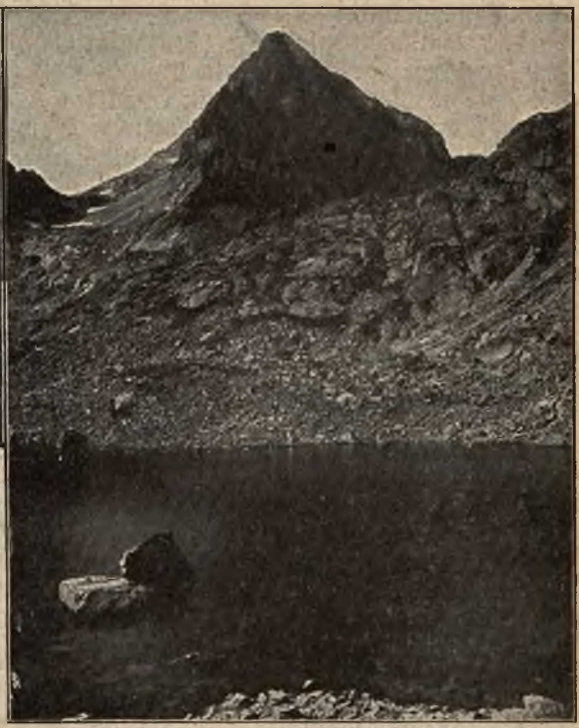
Turniej szermierczy: Zwycięzcy w ostatnim turnieju krakowskiego klubu szermierzy.



Sufrażystki przy pracy: Spalona przez sufrażystki angielskie trybuna na torze wyścigowym w Park Hurst.







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

18

Gdy zeszła po schodach do podjazdu i obaczyła głęboki śnieg, zawahała się i zawołała do chłopaka z zakładu:

— Sanki przyprowadź!

Za chwilę zjawiły się góralskie sanki, chłopak pomógł jej wsiąść, otulił baranicą i sanki ruszyły.

Portyer, który widział to przez okno, spytał wracającego chłopaka, dodanego mu do pomocy:

— Gdzie pani kazała jechać?

— Nie powiedziała, ale wiezie ją Stasiek Gąsienica, wywiem się później.

Pani Wanda, jadąc ulicą Marszałkowską ku poczcie, dojrzała w świetle latarni idące towarzystwo, a nie chcąc dać się poznać, zasłoniła twarz zarękawkiem, jakoby od zimna i wiatru.

Mimo tej ostrożności, pan Jedliński, który towarzyszył trzem paniom, raczej odgadł, aniżeli poznał panią Wandę. Po krótkiem zdziwieniu, poczuł ciekawość, dokąd pani Wanda jedzie sama o tej późnej porze, może do krawcowej? może po zakupno do sklepów? rozmyślał przez chwilę i nagle ukłuło go żądło zazdrości o Borowieckiego.

Całe dzisiejsze popołudnie nie widział go, nie było go nawet w czytelni, gdzie zwykle po nadejściu poczty czytywał dzienniki. Wyobraźnia jego, podniecona zazdrością, zaczęła mu nasuwać podejrzenia, które znalazły potwierdzenie w obserwacyi różnych drobnostek. Ona była dzisiaj jakaś rozmarzona, smutna i lękliwa, widocznie wahała się, czy ma iść na schadzkę. Potem usiadła w kącie salonu z Rytą, swą powiernicą i przyjaciółką: on był przy nich i pani Wanda szybko wyszła, a nie wróciła wcale, pewno dla usunięcia pozorów wszelkich. Nie pokazała się też w salonie, a zapytana o nią Ryta, zapewniała, że boli ją głowa. Teraz był pewny, że pani Wanda i Borowiecki są gdzieś razem.

I taki porwał go gniew, że pod pierwszym lepszym pozorem pożegnał panie, skinął na przejeżdżające sanki i kazał jechać, obserwując bacznie każde sanie, pamiętał bowiem, że konie pani Wandy były siwe.

Pani Wanda przez drogę rozmyślała o swym liście i w obawie, że może na czas nie dojdzie, postanowiła wysłać też depeszę do męża.

Na poczcie, wbrew swym obawom, nikogo znajomego nie zastała, list oddała i stanąwszy przy pulpicie napisała depeszę: Nie przyjeżdżaj, czekaj listu. Gdy skończyła i odczytała, spostrzegła, że zapomniała napisać nazwę stacyi telegraficznej, z której odsyłano depeszę na wieś. Zepsuty blankiet złożyła, odsunęła na bok i napisała dokładniejszy adres na nowym blankiecie. Przez zapomnienie zostawiła zepsutą depeszę, a dobrą oddała urzędnikowi do ekspedycyi.

W chwili płacenia, posłyszała skrzyp otwieranych drzwi i poznała panią Mniewską. Chcąc uniknąć wszelkich wyjaśnień, przywitała się i pospiesznie wyszła.

Pani Mniewska wysyłała również depeszę, a przystąpiwszy do pulpitu, ujrzała złożony blankiet. Jako ciekawa niewiasta rozwinęła papier i nie bez pewnego, przyjemnego zdziwienia odczytała zostawioną przez panią Wandę depeszę, którą schowała do torebki, może przez poczucie porządku, a w każdym razie bez złych zamiarów, tylko po prostu jako ciekawy dokument małżeńskiego pożycia.

Pani Wanda, idąc do swych sań, ujrzała nagle pana Jedlińskiego, który jak piłka wyskoczył ze swych sanek, podbiegł raczej, aniżeli podszedł do niej i głosem niecierpliwym, trochę wzburzonym, mówił:

— Cóż za miła niespodzianka!? Pani tutaj? I to sama!

— Byłam na poczcie.

— Jakże mogła pani sama się trudzić? Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł był usłużyć pani, i na przyszłość raczy mnie pani zaszczycać swem poleceniem.

— No, praca niewielka przejechać się sankami, — uśmiechnęła się, — a w razie istotnej potrzeby skorzystam z uprzejmości pana, — skierowała się do swych sani.

— Jeśli pani już raz wyjechała, opłaci się przejażdżka po Zakopanem... góry przy księżycu tak śliczne.

— Ależ, księżyca niema dzisiaj, — zaśmiała się.

— Tylko co go nie widać, — upewniał.

— Chociażby i był, nie pojechałabym, nie wybrałam się na wycieczkę... i wracam do domu.

— Niechże pani wstąpi przynajmniej do cukierni... na herbatę... na jedno ciasteczko, — prosił usilnie, stając między nią a saniami.

— Nie!... Muszę wracać.

— Ale któż tam tak czeka i tęskni za panią, że powrót terminowy jest konieczny?

Pani Mniewska, wyszedłszy z poczty, obserwowała ich przez chwilę, zaciekawiona podeszła, żartując:

— Cóż to za spór zawzięty?

— Dobrze, że pani przyszła, może mi pani zechce dopomódz?

— W czem?

— Nie mogę uprosić pani Jerzyckiej, ażeby wstąpiła do cukierni, a bywamy tam wszyscy.

Pani Mniewska żartami, śmiechem, wreszcie prośbą, wymogła na pani Wandzie, że zgodziła się wstąpić do cukierni.

Na werandzie oszklonej stały liczne t. zw. marmurowe stoliki, przy których siedziało dużo osób.

Muzyka, dosyć marna, wygrywała odwieczne walce, a dla rozmaitości potpourri z operetek lub przebrzmiałe mazury. Nie można było podejrzywać dobrych chęci grajków, widząc ich zawzięte ruchy i ciężką pracę przy wodzeniu smyczkami, instrumenty jednak były niepodatne i do melodyi wtrącały się fałszywe i piskliwe tony.

Gościom nie zależało na muzyce, rozmawiano głośno, wołano o kawę, czekoladę, piwo, przekąski, wśród gwaru i dymu papierosów, wentylacya bowiem z jednej strony odbywała się przez otwieranie i zamykanie drzwi wejściowych, zaś z drugiej strony przez drzwi od kuchni, skąd zalatywały zapachy przepalonych tłuszczów i przypraw kuchennych.

Na pani Wandzie całe to środowisko w brudnym lokalu zrobiło niemiłe wrażenie i miała ochotę cofnąć się. Wtem dojrzała drwiące i złośliwe spojrzenie pani Poreckiej, siedzącej przy jednym z dalszych stolików w towarzystwie córki i pani Łotuskiej. Zdawało się pani Wandzie, że w spojrzeniu pani Poreckiej widzi niemiłe zdziwienie, iż ona tutaj przyszła i postanowiła zostać. Skinęła głową na znak powitania i wzrokiem szukała wolnego stolika. Na razie nie znalazła, a pani Mniewska doradzała:

— Siądźmy obok pani Poreckiej, — która uśmiechnęła się na widok pani Mniewskiej i zrobiła nieznaczny ruch zapraszający.

Pani Wanda zawahała się, a w tej chwili wszedł pan Jedliński, zajęty dotychczas rozpłaceniem się z woźnicą sanek. Wpatrzony w panią Wandę, nie widział nikogo, a jako częsty i mile witany gość w cukierni, zawołał na garsona, żądając stolika. Kelnerzy, jeśli tylko chcą, zawsze znajdą stolik i dobre miejsce, a ponieważ znano hojność gościa, natychmiast ustawiono stolik i krzesła.

Tak się złożyło, że pan Jedliński usiadł plecami do pań Poreckich, a chcąc przypodobać się pani Wandzie starał się być wesołym i dowcipnym. Rozbawił też i rozśmieszył obie niewiasty, a wesołość przy tym stoliku panująca zwróciła uwagę innych osób.

Na twarzy pani Poreckiej, siedzącej z miną pełną godności, nie można było wyczytać niezadowolenia, ale oczy rzucały błyskawice gniewu, nie tylko za domniemaną odmowę pani Wandy przyłączenia się do ich towarzystwa, ale i za publiczne lekceważenie jej, gdyż pan Jedliński nawet się nie ukłonił, a nie winiła w tem jego, bo mężczyźni bywają nieuważni, ale dlaczego pani Wanda nie zwróciła mu uwagi na jego niestosowne zachowanie. Chce nam pokazać swój tryumf, rozmyślała z goryczą, a właściwie nas to nic nie obchodzi, zaś ona kompromituje się jeszcze bardziej, bo publicznie.

Zauważyła pani Mniewska to złe spojrzenie pani Poreckiej, a odgadując przyczynę, zwróciła się do pana Jedlińskiego:

— Jest tu i pani Porecka z córką... i pani Łotuska.

Pan Jedliński, chcąc okazać, że zajmuje go jedynie pani Wanda, odpowiedział z przesadną obojętnością:

— Cieszy mnie... niech się bawią, — i zaczął opowiadać zabawną przygodę przy saneczkowaniu.

Zbliżyła się pora kolacyi w zakładzie, trzeba jechać. Wstała już pani Porecka, do której ostentacyjnie podeszła pani Mniewska i w ten sposób zmusiła pana Jedlińskiego do przywitania się z temi paniami. Właśnie pomagał pani Wandzie do włożenia futerka i zawołał do tamtych pań wesoło:

— Zajedziemy do zakładu kuligiem.

Pani Porecka mijała ich w tej chwili i powiedziała z godnością:

— Tak, kuligiem... ale nie wszyscy będziemy w maskach.

— Doskonały pomysł, — zawołał pan Jedliński, i wszystkie panie przez grzeczność zatrzymały się, ażeby dokończył zdanie, a on ubierając się w futro mówił: — kuligi, z wyjątkiem błazna, odbywały się bez masek, natomiast w przebraniu. Pani, — zwrócił się do pani Poreckiej, — byłaby pyszną wojewodziną. Panna Magdalena dumną kasztelanką. Pani Mniewska doskonałą panią Wud, a pani Jerzycka chyba tylko Julią Szekspira.

— A pan aspirantem na Romea, — zaśmiała

się drwiąco panna Porecka, i do matki: — chodźmy już mamo.

— Nie uśmiecha mi się wcale tragiczny zgon Julii, — powiedziała swobodnie pani Wanda, — wogóle nie jestem stworzona na bohaterkę.

— A Romeo wzbudza mój zachwyt i rozumiem dobrze, że bez Julii nie mógł żyć, — otwierał drzwi pan Jedliński.

— Poco wspominać tak piękne rzeczy w takiem otoczeniu, — nachmurzyła się pani Wanda, — szkoda ich.

— O, pani Porecka już odjechała, — odezwała się pani Mniewska, — a dlaczego pan nic nie powiedział o pani Łotuskiej?

— Bałem się obrazić ją, gdybym powiedział był, że dla mnie jest Tytanią.

Pani Wanda zaśmiała się cicho i, siadając w sanki, dodała:

— Nie bądź pan tak złośliwy.

Pani Mniewska nie rozumiała, co w tem złośliwego, że pani Łotuska jest Tytanią, zresztą mało to ją obchodziło, natomiast dużo jej zależało na tem, ażeby wiedzieć, co oznacza i kim była pani Wud, jak ją określił pan Jedliński. Nie byłaby jednak kobietą, gdyby się była wprost spytała, co oznacza Tytania.

— Nie wiem, dlaczego pani Łotuska miałaby się obrazić na Tytanię, — mówiła w czasie jazdy do pani Wandy, — przecież to tylko żart... zabawa.

— Zapewne, ale zawsze to niemiła rzecz, nazwać kogoś zaślepionym.

— Zaślepioną?! — udała zdziwienie, — jak to pani rozumie? Ja pojmuję Tytanię, jako kobietę piękną, kochającą nadmiernie, ale szczerze.

— Lecz, jeśli ona, bogini, kocha się w tkaczu, z głową oślą, — zaśmiała się, — o szczerości nie może być mowy, tylko o zaślepieniu.

— Ach, tak!? Nie sądziłam, ażeby pan Jedliński tak określił pana Szarockiego... to dobre, — śmiała się, — ale pani Łotuska daleka jest od bogini... no i od takiego zaślepienia. Z nudów flirtuje z nim, bo innego nie ma.

Pani Mniewska straciła swadę i humor. Jeśli on panią Łotuską, która mu się dawniej tak podobała, nazwał głupią Tytanią, zakochaną w ośle, to któż jej zaręczy, czy pod panią Wud nie kryje się gorsza złośliwość. Po dość długiem milczeniu powiedziała:

— Nie pamięta pani, jaką rolę gra pani Wud i w czem?

— Jaka pani Wud? — spytała pani Wanda.

— Pan Jedliński powiedział, że jestem doskonałą panią Wud... a wypadło mi z pamięci to nazwisko.

— Nie... nie wiem. Spytam go.

— Ach nie! Mógłby myśleć, że tak bardzo obchodzą mnie jego koncepta.

Zasiedli do kolacyi. Pani Porecka nie mogła zapomnieć, że i ona i córka były tak zaniedbane i niemal ignorowane przez pana Jedlińskiego w cukierni, dzięki kokieteryi pani Wandy, a gdy spostrzegła, jak uprzedzająco usługuje pani Wandzie pan Borowiecki, zwróciła się do pani Łąckiej i Ryty z uśmiechem łagodnym:

— Szkoda, że nie było pań w cukierni dzisiaj wieczorem.

— Cóż się tam stało?

— Pan Jedliński rozdawał role na przyszłą maskaradę w naszym zakładzie. Mnie w swej łasce przeznaczył na wojewodzinę, Madzię na kasztelankę...

— Sobie wyznaczył rolę Romea, w swej skromności, — dorzuciła Madzia złośliwie.

— Ciekawa też jestem, jaką rolę ma objąć wobec Julii, pan Borowiecki, — kończyła pani Porecka, zadowolona, że umieściła wreszcie ten frazes, dla którego wszczęła rozmowę o maskaradzie.

Pani Wanda zarumieniła się leciutko z gniewu, zrozumiała intencyę pani Poreckiej, ale powiedziała uprzejmie:

— Sądzę, że pan Jedliński, tylko dla przypodobania się pani wojewodzinie i kasztelance objął niewdzięczną rolę reżysera maskarady i *faute de mieux* rozdawał dowolnie inne role.

Pani Porecka pobladła; nie dosyć, że przez nizką kokieteryę zatrzymała ta kobieta przy sobie Jedlińskiego, ale drwi, że on im chciał się przypodobać, a nie pozwoliła mu nawet przywitać się z niemi.

— W każdym żarcie jest pół prawdy, — rzekła z godnością, — i mnie nie dziwna wojewodzina, gdyż mam w rodzie wojewodów, ale, Bogu dzięki, nie mamy u nas Julii, która dla miłostek zapomniała o swych obowiązkach.

— To zależy od osobistych skłonności, — odcięła pani Wanda, — jedni wolą żyć chlebem, inni poezyą. Co do mnie, wolę być piękną, młodą, kochającą i kochaną Julią, aniżeli wojewodziną, matroną doświadczoną i surową.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę, — uśmiechnęła się lekceważąco pani Porecka, — takie pojęcia są właściwe Królewiankom.

Ryta, chcąc przerwać ten złośliwy spór, powiedziała z dobrym uśmiechem:



Jako ciekawa niewiasta rozwinęła papier.

— Ciekawa też jestem, jakie były inne osoby tej maskarady?

— Nie wiem, — odpowiedziała Madzia, — wyszłyśmy z mamą i panią Łotuską. To zapewne tajemnica pani Jerzyckiej, a może i pani Mniewskiej.

— Nie mam żadnych tajemnic, — rzekła pani Wanda rozdrażniona, — i nie lubię cenzurowania, to dobre dla dzieci.

— A pani była przy tem? — spojrzała pani Łącka na panią Mniewską.

— Byłam, — odparła zarumieniona, gdyż nie była pewna, co oznacza pani Wud.

— A jaką pani ma rolę? — ciągnęła nieubłaganie pani Łącka.

— Jaką!?... Pan Jedliński coś mówił, ale zapomniałam.

— A ja? — zaśmiała się pani Łotuska, — kim ja jestem?

— Piękną Tytanią, — rzekła pani Mniewska, nie bez zadowolenia.

Pani Łotuska nie wiedziała, co oznacza ta nazwa, uśmiechnęła się dla zwyczaju i spojrzała na swego sąsiada, pana Szarockiego. Ten, po dobrej chwili zastanowienia, rzekł z odcieniem ironii:

— Przypadek, ten wielki pan życia, odsłania czasem ciemne, duszące chmury i okazuje zdumionym chlebojadom wiekuistą, nagą prawdę. Tytania, przecudna bogini, — spojrzał na panią Łotuską, — gardzi bogiem duchów, Oberonem i pieści ośloglowego Spodka, — zaśmiał się sucho, — tak, tak, to bywa i muszę podziwiać, — zwrócił się do Jedlińskiego, — przenikliwą symbolistykę pana.

Pani Mniewska z panią Wandą zamieniły spojrzenie, gdyż uważały obie Szarockiego za Spodka.

Pani radczyni z Jarosławia, siedząca w pobliżu, zawołała nagle:

— Ta co państwo mówicie takim cygańskim językiem? Ni to w pięć, ni w dziewięć, — zaśmiała się, — wymyślacie sobie jakieś przezwiska, a inni nie rozumieją. U nas, w Jarosławiu, jak się bawią, to wszyscy i niema takich osobliwości.

— Czy w Jarosławiu niema teatru? — spytał Jedliński, — bo wszystkie te osobliwości są z teatru.

— Do nas, w Jarosławiu, zjeżdża czasem trupa aktorów, ale grają komedye, a bywało, urządza się i teatr amatorski, a potem tańce. Bawimy się w Jarosławiu, jak na całym świecie, wesoło, po bożemu, przyzwoicie.

— A nie grają w Jarosławiu komedyi: „Wesołe kumoszki z Windsoru"? — spytał z powagą Jedliński.

— Może tam, w mieście pańskiem, — odparła tonem obrażonym, — bawią się z kumoszkami, nasze towarzystwo w Jarosławiu nic nie ma wspólnego z kumoszkami.

— Ależ, pani radczyni dobrodziejko, — usprawiedliwiał się pan Jedliński, — to jest komedya Szekspira i te kumoszki płatają figle zakochanemu opojowi, Falstafowi.

— No, już dziękuję za figle kumoszek, — mówiła cokolwiek udobruchana, — czy są one przyzwoite?

— I bardzo, — wmieszał się Borowiecki, — chowają kochanka w kosz z brudną bielizną i każą go zanieść do praczki.

— Dosyć, dosyć, — zakryła sobie uszy białą ręką, — jeśli brudna bielizna na scenie, to już dosyć.

— Bielizna w koszu, — zaśmiał się Borowiecki, — a kumoszka, pani Wud, nie pokazuje jej.

Pani Mniewska na wzmiankę tego nazwiska z dodatkiem kumoszka poczerwieniała i zbladła. Nie spodziewała się nigdy, ażeby ją nazwano kumoszką.

— Ta niech mi pan już nie tłómaczy, — zawołała radczyni, — i nie wiem, że panie pozwalają na takie gadanie o bieliźnie i kumoszkach.

— Jakże mamy zabraniać? — zaśmiała się pani Wanda.

— Ta to zależy od taktu kobiety, — tłómaczyła radczyni, — jak on widzi, że kobieta śmieje się z takich bzdurstw, to on sobie pozwala na więcej.

— Pani ma zupełną słuszność, — podchwyciła pani Porecka, — taktowna kobieta nie dopuści nigdy, ażeby mężczyzna przekroczył granice przyzwoitego zachowania się, — spojrzała przelotnie na panią Wandę.

— Granice są bardzo nieuchwytne, — uśmiechnął się Borowiecki, — bo na przykład co złego jest „kumoszka", a jednak w Jarosławiu obrażają się.

— Przyzna pan sam, — odezwała się pani Mniewska, — że tytuł „kumoszka" nie uchodzi w dobrem towarzystwie, — spojrzała oburzona na Jedlińskiego, — a nadawanie tegoż, chociażby żartem, jest niewłaściwe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

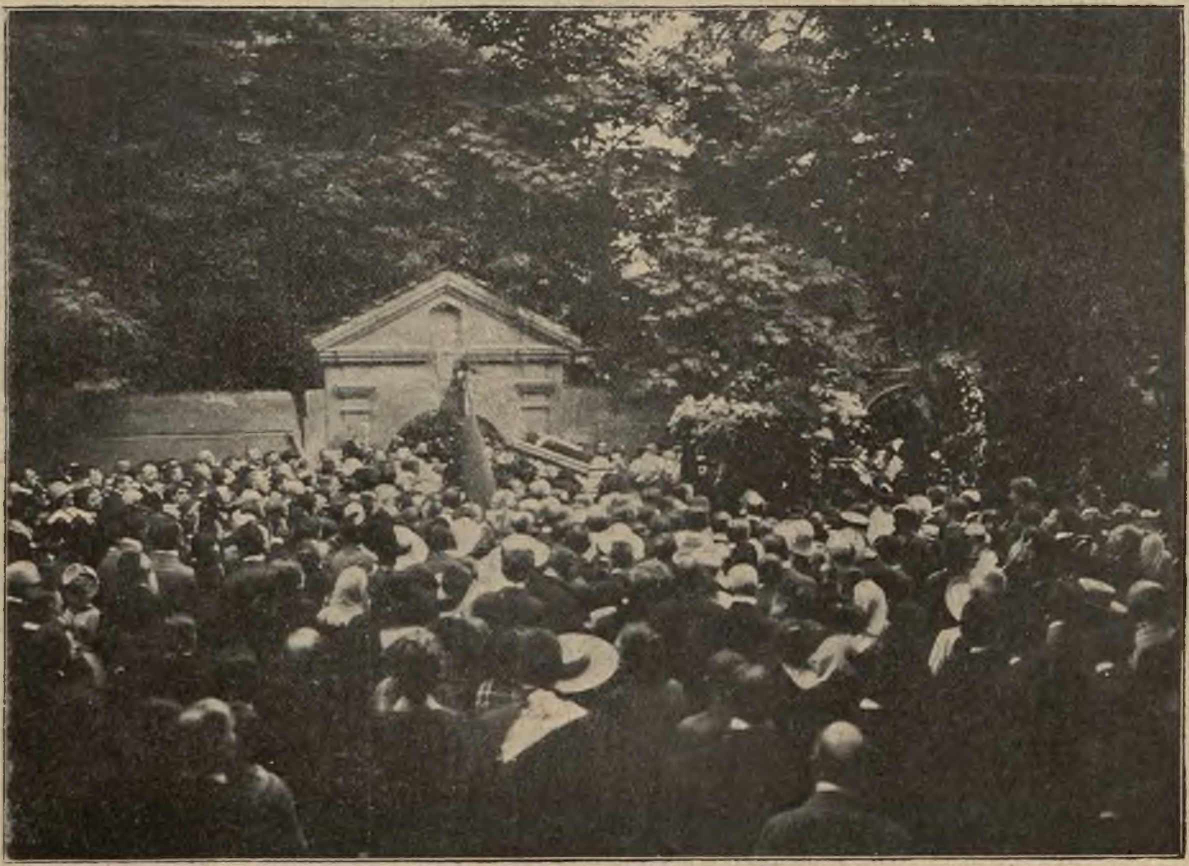
Pogrzeb ś. p. prof. Pareńskiego.

Zgon zasłużonego i ogólnie szanowanego prof. Pareńskiego wstrząsnął do głębi całym Krakowem. Tragiczne okoliczności, które tej nagłej śmierci towarzyszyły, tem większe uczyniły wrażenie, gdy ostatecznie ustalono okoliczności, w jakich prof. Pareński zginął. Jak stwierdzono, był to istotnie wypadek. Prof. Pareński kilkakrotnie wyskakiwał z pociągu, gdyż już kilka razy zdarzyło mu się pomylić właściwy kierunek drogi. Zawsze wychodził z takich eksperymentów obronną ręką. Los chciał, że tym razem poszło inaczej i chcąc gorliwie wypełnić swój obowiązek i nie spóźnić się do chorego, zginął. Prawdopodobnie śmierć jego była momentalną, gdyż złamał sobie kręgosłup od silnego uderzenia.

Obrzęd pogrzebowy przemienił się w olbrzymią poważną manifestacyę na cześć Zmarłego. Szacunek, jakim otaczano Jego osobę, poważanie, jakiem się cieszył i serce gorące, które otwierało doń przystęp każdemu, szukającemu rady i pomocy, sprawiły, że na pogrzeb Jego pospieszyli przedstawiciele wszelkich warstw społecznych, od najwyższych sfer, aż po izdebki robotników i biedaków. Pogrzeb ten był miarą popularności, jaką Zmarły się cieszył.

Kondukt wyruszył z kościoła szpitala św. Łazarza. Tutaj duchowieństwo, bardzo licznie zebrane, odprawiło modły nad trumną. Prowadził je ks. kanonik Drohojowski w asystencyi ks. prałata Krupińskiego i wielu innych księży świeckich i zakonnych.

Po odprawieniu modłów złożono trumnę na karawanie, zaprzężonym w cztery konie, który otaczali weterani z 63 roku i pedele Uniwersytetu Jagiellońskiego z berłami. Przed kościołem, z specyalnej mównicy, pierwszy przemówił rektor Uniwersytetu krakowskiego, prof. Zoll jun., żegnając Zmarłego imieniem Wszechnicy. Następnie prof. Jul. Nowak, dziekan wydziału lekarskiego, przemawiał imieniem kolegów krakowskich i lwowskich, imieniem Rady m. Krakowa mówił dr. E. Bandrowski, dr. Krzyszkowski, imieniem Wydziału krajowego i szpitala, w którym prof. Pareński blizko 40 lat pracował, wreszcie dr. Frączkiewicz imieniem Tow. balneologicznego.



Pogrzeb ś. p. prof. Pareńskiego: Wyniesienie zwłok z kościoła św. Łazarza.

Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki pieśni żałobnej, ruszył olbrzymi kondukt. Otwierał go oddział straży pożarnej, potem szły różne stowarzyszenia dobroczynne, w których Zmarły pracował, dalej zakony, księża, a za karawanem obok rodziny przedstawiciele władz, wszystkich prawie instytucyi krakowskich, cały świat lekarski, stowarzyszenia ze sztandarami, wreszcie całe grono profesorów krakowskiego Uniwersytetu ze wszystkich fakultetów.

Nad grobem ostatni mowca pożegnał Zmarłego. Był to przedstawiciel „Przytuliska“ weteranów, pan Eustachy Jaxa Chronowski, towarzysz młodzieńczych zapałów i porywów.

Po odśpiewaniu przez chór akademicki pieśni żałobnych złożono trumnę w rodzinnym grobie.

Illustracye nasze przedstawiają wyruszenie konduktu z przed kościoła i u wylotu ul. Strzeleckiej.

Katastrofa aeroplanowa w Myślenicach.

Dnia 15 b. m. piękna miejscowość klimatyczna, Myślenice, była widownią katastrofy aeroplanowej. Około godziny 6-tej rano wyłonił się z zachmurzonego nieba aeroplan, a zatoczywszy kilka olbrzy-



Pogrzeb ś. p. prof. Pareńskiego: Kondukt pogrzebowy w ulicy Strzeleckiej.



Pogrzeb ś. p. prof. Pareńskiego: Duchowieństwo w orszaku żałobnym.

mich kół, wylądował szczęśliwie na dworskich polach. Był to wojskowy monoplan systemu Etricha „Achilles“ o sześciocylindrowym motorze. Jak następnie opowiadał porucznik Artur Kollitsch, jadący jako pasażer, monoplan wyleciał z Prądnika Czerwonego i w okolicy Dobczyc wpadł w wielką chmurę gradową, tak, że lotnicy stracili zupełnie oryentacyę i zmuszeni byli do lądowania, co nastąpiło w Myślenicach.

Po naprawie lekkich uszkodzeń, jakich doznał aeroplan w czasie lądowania i nabraniu benzyny, przygotowano się do odlotu. Przed samym jednak odlotem, około godziny 1-szej w południe, nadciągnęła nawałnica, która rozmiękły już wskutek poprzednich deszczów teren zamieniła w grzęzawisko. Mimo to lotnicy nie odłożyli odlotu...

Aeroplan, po wprawieniu w szalony ruch śmigi, ruszył z miejsca, ale z powodu rozmiękłej ziemi nie był w stanie uzyskać potrzebnej prędkości do wzniesienia się w górę i ubiegłszy około 300 m. wpadł w przykopę, następnie w ziemniaki, t. j. teren poprzerzynany głębokiemi bruzdami i zakręciwszy się w koło, runął jako kupa gruzów. Z całego aeroplanu ocalał jedynie motor.

Na szczęście lotnicy oprócz lekkich kontuzyi nie odnieśli poważniejszego szwanku.



Katastrofa aeroplanowa w Myślenicach: Przygotowanie aeroplanu do wzlotu.

Z pracy narodowej na Śląsku.

W niedzielę, dnia 8 czerwca b. r., odbyła się w Orłowej uroczystość zakończenia nauki na pierwszym ośmiomiesięcznym kursie handlowym. Kurs ten trwał od 1 października 1912 do 31 maja b. r., przeznaczony dla kształcenia polskich kupców i pomocników handlowych. Na naukę uczęszczało 36 frekwentantów z całego Śląska.

Kurs utrzymywał się wyłącznie z opłat uczestników, ponieważ starania zarządu o subwencye u władz krajowych, śląskiej Izby handlowej i innych instytucyi przemysłowo - handlowych nie odniosły żadnego skutku.

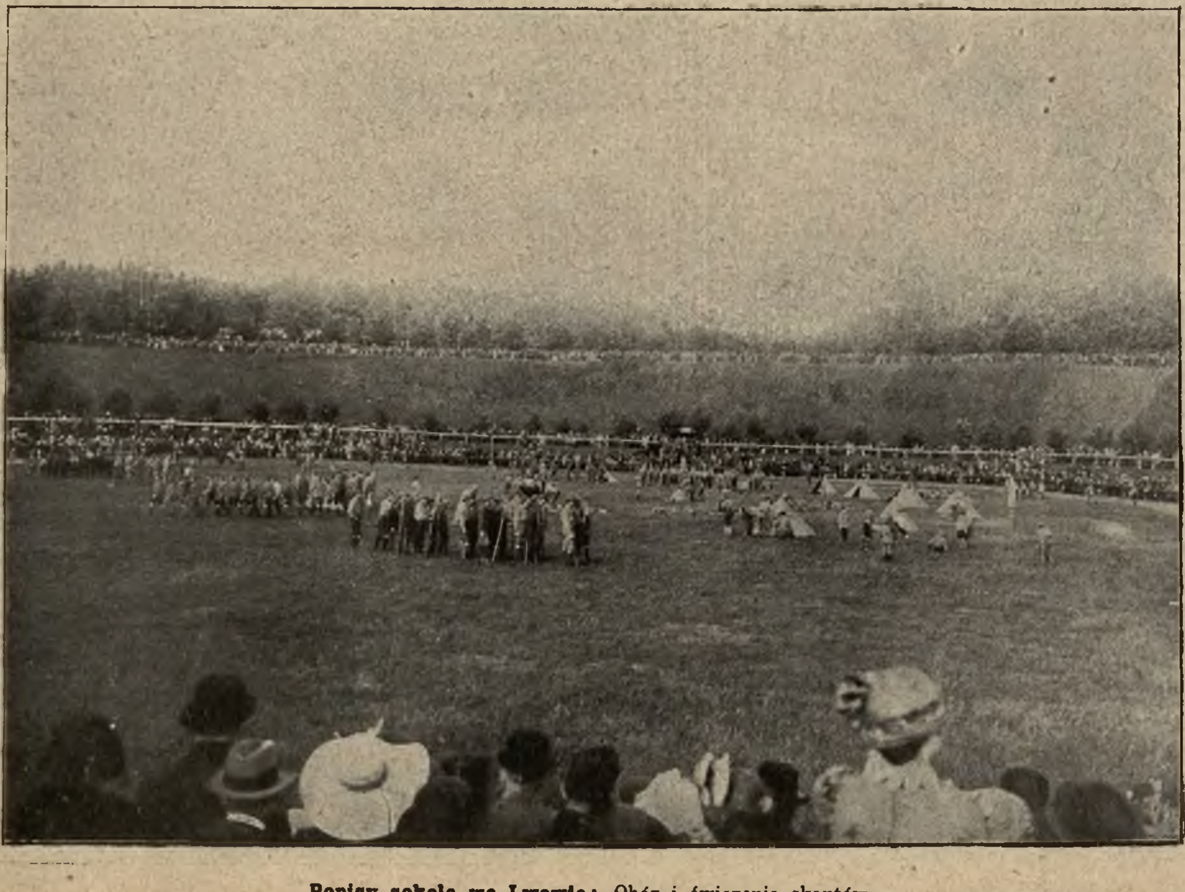
Niemcy i Czesi mają dość swoich szkół i kursów kupieckich na Śląsku i te w pierwszym rzędzie muszą z naszych podatków hojnie wyposażać i utrzymywać. Polakom na Śląsku, według ich mniemania, nie potrzeba żadnych szkół i kursów handlowych. Polacy niech pracują na roli, drą grzbiety w kopalni, niech płacą podatki gminne i krajowe i różne świadczenia, rządy zaś, handel i przemysł należą do Niemców.

I tak się też na Śląsku dzieje: w miastach jest tam dziś handel i przemysł zupełnie w rękach niemieckich i czeskich. Co gorsza, że zalew ten objął w ostatnim czasie i wsie polskie. Przy pomocy kapitału z banków niemieckich i czeskich wrogowie nasi otwierają w gminach naszych sklep po sklepie, w centrach zakładają hurtownie i oddziały towarowe przy swoich kasach i w ten sposób zdobywają nas, czyniąc nasze stanowisko zależnem i biernem na każdym kroku.

Na całym Śląsku niema jeszcze ani jednej szkoły handlowej. Następstwem tego jest brak tam fachowo wykształconych kupców polskich, którzyby potrafili prowadzić interes wobec konkurencyi wyszkolonych kupców niemieckich i czeskich. Potrzeba zatem wychować zastęp polskich kupców, fachowo do handlu przygotowanych, a wtedy dopiero będziemy mogli przejść do walki w obronie handlu polskiego, tworzenia kooperatyw i hurtowni polskich. Utrzymanie naszego stanu posiadania na Śląsku musi się oprzeć na zdrowej ekonomicznej samopomocy społeczeństwa polskiego.

Do tego celu dążąc, utworzył się w Orłowej osobny wydział szkolny, który wziął sobie za zadanie utrzymywać i prowadzić stale kurs handlowy dla kształcenia polskiej młodzieży na Śląsku. W skład tego Wydziału wchodzą: prof. Julian Waga, Franciszek Halfar, poseł sejmowy, Julian Sykała, nadinżynier i kierownik szybu w Łazach, dr. Jan Buzek, lekarz w Dąbrowej i Stanisław Paluch, nauczyciel w Orłowej, jako kierownik kursu.

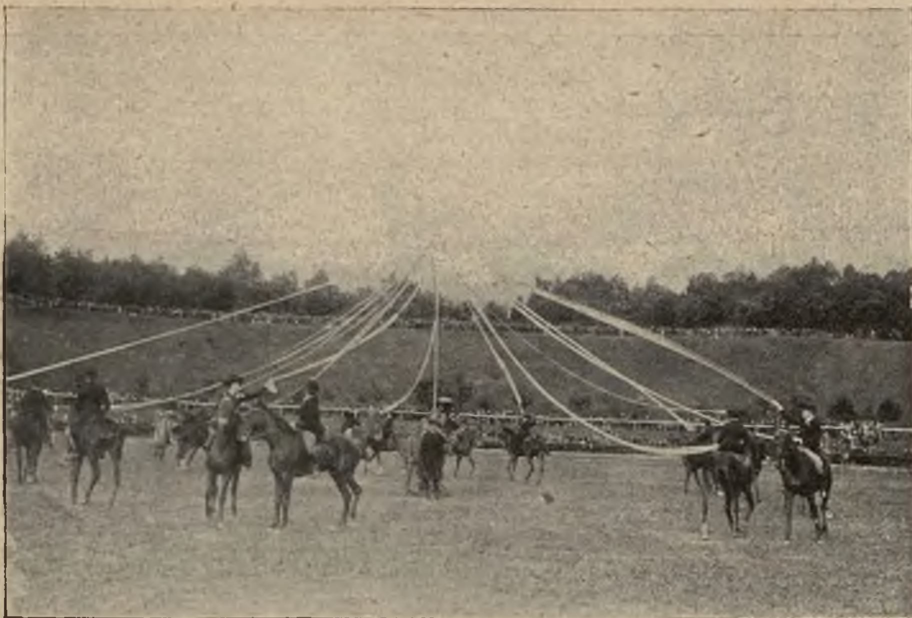
Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników kursu z nauczycielem p. Wójcikiem i kierownikiem kursu p. St. Paluchem w pośrodku.



Popisy sokole we Lwowie: Obóz i ćwiczenia skautów.

Trzydzieści lat po maturze.

Węzły koleżeństwa, zadzierzgnięte w młodych latach, skupiają byłych towarzyszów z ławy szkolnej, jakby w jedną rodzinę. Choć rozproszeni po całym kraju, a nieraz i daleko poza jego granicami, utrzymują oni ciągłą łączność ze sobą i korzystają z każdej sposobności, aby te węzły jeszcze silniej zacisnąć.




Popisy sokole we Lwowie: Karuzel i kadryl konnych Sokołów.

Taka sposobność nadarza się z okazyi peryodycznie powtarzających się zjazdów maturycznych, na które spieszą dawni koledzy, aby bodaj na chwilę zapomnieć o tej szarzyźnie życiowej, o troskach i kłopotach, jakie stają się udziałem każdego, a pokrzepić się wspomnieniem dawnych czasów, kiedy to, różowo patrząc w przyszłość, stawiali pierwsze kroki na niwie życia społecznego.

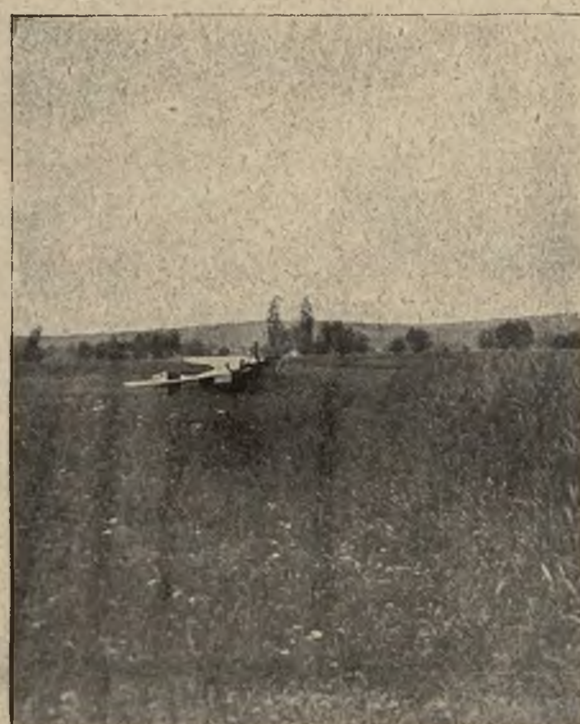
Tego rodzaju zjazd maturzystów czwartego gimnazyum we Lwowie, tak zwanego bernardyńskiego, którzy złożyli egzamin przed trzydziestu laty, odbył się w dniu 13 czerwca b. r.

Z czterdziestu dziewięciu abituryentów, którzy w roku 1883 ukończyli klasę ósmą i zasiedli do „matury", zostaje obecnie jeszcze 41 przy życiu. Z nich dwudziestu pięciu przybyło na zjazd.

Zjazd rozpoczęło solenne nabożeństwo, które odprawił w kościele OO. Bernardynów jeden z kolegów, ks. kanonik Swieykowski z Gorlic. Wzięli w niem udział wszyscy uczestnicy wraz z żonami i dziećmi.

Po mszy św. zwiedzono razem budynek gimnazyalny, kamienicę królewską Sobieskiego z jej cennymi zbiorami, poczem udano się na uroczystość, urządzoną przez lwowskiego „Sokoła".

Wspólna fotografia, zdjęta przed obiadem w sali kasyna miejskiego, stanowić będzie dla każdego z uczestników miłą pamiątkę tej podniosłej chwili.



Katastrofa aeroplanowa w Myślenicach: Aeroplan w pędzie przed katastrofą.

Nowa placówka dla pracy społecznej.

Od lat z górą siedmdziesięciu istnieje we Lwowie, przy ulicy Teatyńskiej, zakład pod nazwą „Małego Seminaryum", który wychowuje młodzież, mającą chęć poświęcenia się stanowi duchownemu. Przez szereg lat wychowało się tutaj z górą półtora tysiąca uczniów, którzy zajmują dziś wybitne stanowiska tak w hierarchii duchownej, jak i świeckiej.

Rozprószeni po całym kraju, nie utrzymywali dotąd byli wychowankowie stosunków z zakładem, gdzie spędzili swe młode lata.

Aby węzły te zacieśnić, a wychowanków zbliżyć do siebie i do zakładu, powstał z inicyatywy obecnego rektora, księdza dra Józefa Gaworzewskiego „Związek byłych wychowanków Seminaryum arcybiskupiego".

Myśl rzucona została gorąco przyjęta, już na pierwszy Zjazd i walne zgromadzenie zgłosiło przystąpienie do Związku przeszło sto osób.

Zjazd odbył się w dniu 16-go czerwca b. r. w murach Małego Seminaryum.

Przed uroczystem zebraniem odbyło się nabożeństwo w kaplicy zakładowej, odprawione przez byłego wychowanka Małego Seminaryum i długoletniego prefekta zakładu, ks. dra Błażeja Jaszowskiego, rektora lwowskiego uniwersytetu, z asystą kilkunastu kleryków, którzy wychowywali się w tych



Z pracy narodowej na Śląsku: Uczestnicy kursu handlowego w Orłowej z nauczycielem p. Wójcikiem i kierownikiem p. St. Paluchem w pośrodku.



Nowa placówka dla pracy społecznej: Grupa uczestników zjazdu wychowanków małego Seminaryum we Lwowie.

murach. Następnie odbyło się walne zgromadzenia członków, które zagaił obecny rektor zakładu, ks. dr. J. Gaworzewski, nakreśliwszy zwięźle historyę tej humanitarnej instytucyi. Wywiązała się ożywiona dyskusya nad celami i zadaniami Związku, wkońcu zaś dokonano wyborów.

Prezesem wybrano przez aklamacyę profesora Michała Bogusza, wiceprezesem został radca cesarski Walery Włodzimirski, radny miejski. Nadto wybrano sześciu członków zarządu.

Odbyło się następnie przyjęcie gości przez rektorat Małego Seminaryum, podczas którego wygłoszono toasty, tchnące rzewnemi wspomnieniami dawnych czasów, zakończyły zaś produkcye muzykalno-wokalne obecnych wychowanków zakładu, jak również przedstawienie teatralne, z brawurą odegrane przez młodocianych artystów-amatorów.



Trzydzieści lat po maturze: Uczestnicy zjazdu maturzystów, którzy ukończyli IV. gimnazyum we Lwowie w roku 1883.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

16

Nie słyszałem wprawdzie nigdy o takiej miejscowości, liczyłem jednak na to, że znajdę ją przy pomocy karty. Oświadczyłem mu więc, że, aby ustalić położenie tego portu, muszę na mocy notatek kapitana ustalić, gdzie w obecnej chwili nasz okręt się znajduje. Na to potrzeba mi pomocy Mr. Visego.

Z pewnem ociąganiem się spełnił Nakir mój rozkaz i przyprowadził Abrahama, za którym zaraz zjawił się i Jakób. Malajczycy, którzy na pokładzie się kręcili, udawali, że nie zwracają na nas uwagi. Nakir zaczął przechadzać się po pokładzie.

Zdobywamy okręt.

Kajuta kapitana przedstawiała straszny widok. Na podłodze stała kałuża krwi, w połowie zastygła, wszystkie sprzęty obryzgane były krwią. Z trudnością zapanowałem nad przerażeniem, które mnie ogarnęło i opowiedziałem szybko Abrahamowi o naszym planie. Słuchał mych słów z naprężoną uwagą.

— Swietny pomysł! — oświadczył wreszcie drżącym ze wzruszenia głosem. — To się musi udać! Główna sprawa w tem, abyśmy wszystkich dostali razem do jednego pokoju.

Pospiesznie przeszukaliśmy dużą skrzynię i wszystkie szuflady, nigdzie jednak nie znaleźliśmy broni, co nas bardzo dziwiło. Zwłaszcza, ja byłem niemile rozczarowany, liczyłem bowiem na pewno na to, że dowódca takiej załogi będzie miał bodaj rewolwer przy sobie.

Kiedy poszukiwania nie wydały rezultatu, przenieśliśmy do kajuty sternika teczkę z kartami, kilka sekstantów, chronometr i inne podobne instrumenty. W teczce znalazłem dużą kartę południowej Afryki, wziąłem ją pod pachę i poszedłem z Abrahamem na pokład. Znowu wzrok mój zatrzymał się na strasznej, krwawej plamie, ale równocześnie przeleciała mi przez głowę myśl, że można będzie właśnie tę plamę przy naszym wojennym zamiarze zużytkować. Przypuszczając, że Helga jest u siebie w kajucie, chciałem właśnie iść po nią, gdy usłyszałem, że z górnego pokładu woła mnie ktoś po imieniu. Obejrzałem się i ujrzałem Helgę, rozmawiającą z Nakirem. Mądrze udawała bardzo uprzejmą, aby uśpić jego czujność.

— Nakir opowiadał mi o swej ojczyźnie — wołała. — Jakżeż wspaniały kraj, pełen kwiatów i ptaków! — Zachwycona złożyła ręce.

Nakir patrzył na nią z nieukrywanym podziwem, co rozbudziło we mnie uczucie zaciekłego gniewu, gdy wyobraziłem sobie, że ten żółty bandyta śmiałby zakochać się w Heldze.

— Gdzież jest ta zatoka Moselska, o której mówiłeś? — zapytałem.

Wskazał mi palcem na mapie odnośne miejsce.

— Aha! to jest na wschód od Agulhas, ale przecież to jeszcze daleko od Przylądka.

— O nie! — tłomaczył Nakir. — Dużo wozów, dużo koni, dużo wołów!

Miałem wrażenie, że on wierzy w to, iż potrafił nas przekonać i zatokę Moselską uważamy za właściwą do wylądowania.

— Patrz no tu Helgo — zwróciłem się do niej. — Droga jest zupełnie prosta i ty przy pomocy Abrahama nie pobłądzisz. Doskonałe sekstanty i inne potrzebne instrumenty są na dole przygotowane.

Mimo, iż strasznie byłem przygnębiony, to jednak o mało nie parsknąłem śmiechem, widząc, z jak srogą miną Abraham zabrał się do studyowania karty.

— Chciałem już dawno wybrać się w zupełnie mi nieznane strony — oświadczył wreszcie poważnie. — Kapstadt podobno jest pięknem miastem, gdzie dla nas można dostać dobry haust trunku. Ale czy przy tej całej wyprawie nie dałoby się, abyśmy obaj, ja i mój towarzysz, kilka funtów przecież zarobili?

— My o tem mówić potem, Misser Vise — odpowiedział Nakir — my wszyscy potrzebować pieniędzy.

Obawiając się, aby Abraham nia wypadł z swej roli, posłałem go na śniadanie, szepnąwszy mu na ucho, aby we wszystko wtajemniczył Jakóba.

Pogoda rano tego dnia była wspaniała. Niebo jaśniało przecudnym błękitem bez jednej chmurki, a słońce świeciło tak, jakbyśmy byli o dziesięć stopni bardziej na południe. Po dziesiątej lekki wiatr, który dął dotychczas, zupełnie się uspokoił, tak, że zacząłem się obawiać, iż jest to cisza przed burzą. Dopiero spostrzeżenie, że barometr ciągle stoi wysoko, pouczyło mnie, iż pogoda zapowiada się stała. O jedenastej zawiał świeży wiatr z północnego wschodu, jak przypuszczałem zapowiedź silniejszego wichru.

Jak morze szerokie nie widać było nigdzie okrętu, co zresztą bardzo mi było na rękę.

Przed samem południem przyniosłem dwa sekstanty, z których jeden wręczyłem Abrahamowi, a drugi Heldze. Abraham jednak nie wiedział wcale, co ma z tym instrumentem robić, i tak niezręcznie nim manipulował, że zirytowany bałem się, aby nie obudził podejrzeń Nakira.

Helga stała przy burcie statku, zwrócona do słońca. Sekstant przyłożyła do oka. Nakir i wszyscy inni marynarze obserwowali jej pracę z wielkiem zajęciem. Miała teraz wykazać, że zasługuje na zaufanie, jakie załoga złożyła w jej ręce. Przepięknie wyglądała jej ciemna postać i złote loki włosów, prześwietlone promieniami słońca na jasnem tle horyzontu.

— Osiem stopni! rozległ się wreszcie jej pełny głos z lekkim północnym akcentem.

— Osiem stopni! — powtórzyło echo Abrahama, chociaż według jego obliczeń równie dobrze mogła być północ jak szerokość.

Rozkazałem mu, aby z kajuty przyniósł na pokład atrament, pióro i dziennik okrętowy, żeby Helga mogła poczynić potrzebne notatki. Załoga zaczęła tymczasem czynić przygotowania do spożycia obiadu. Rozmawiano bardzo żywo. Helgi obliczenia, dokonane przy pomocy sekstantu, bardzo im zaimponowały. Zawołałem Nakira i poleciłem mu, aby nam obiad na górze podano. Kajuta kapitana w obecnym swym wyglądzie nie jest odpowiedniem miejscem do przebywania dla naszej młodej damy.

Abraham przyniósł potrzebne przybory do pisania, a ja zapytałem go, kto ma objąć teraz służbą przy sterze.

— Teraz kolej na Jakóba!

Zawołałem Jakóba, a gdy ten ujął za koło steru, Malajczyk, który dotychczas je obsługiwał, poskoczył ochotnie na obiad.

Abraham zagłębił się zupełnie w obliczenia, które z poważną miną czynił ołówkiem na papierze, rozciągniętym na kolanie. Helga, która jako stołu użyła górnego okna pokładowego, pracowała pilnie, otoczona chronometrami i kartami. Odwaga jej napełniała mnie podziwem. Jeśli nasz plan się nie uda, to jej przypadłby w udziale najstraszniejszy los. Mimo to jej piękna, spokojna, jakby z marmuru wyrzeźbiona twarz nie zdradzała niczem trwogi.

Kiedy skończyła swą pracę, oznaczyła na karcie miejsce, gdzie obecnie się znajdowaliśmy, podając dokładnie szerokość.

— Zanieś wszystko z powrotem na dół, Abrahamie! — rozkazałem — wróć jednak zaraz z powrotem! Panna Nilsen chce odpocząć w swej kajucie, a ja sam nie wezmę odpowiedzialności za prowadzenie okrętu.

Steward przyniósł nam tacę, pełną zimnych potraw, suchary i wino i ustawił parę krzeseł na pokładzie. Kiedy ustawiał przyniesione rzeczy na stole, ja wydobyłem z teki wielką kartę światową. Mimo, iż w obecnej chwili za żadne skarby świata nie byłbym przełknął ani kawałka, udawałem, że bardzo gorliwie sprzątam talerze. Helga, która rozkruszyła biszkopta i przełknęła kilka kropel wina, dodawała mi odwagi wesołym uśmiechem.

— Helgo! jeszcze jest czas! — szepnąłem. — Spróbujemy działać bez pani. Jeśli plan nam się nie uda, pani nic się nie stanie, gdyż te dyabły bez pani nie dadzą sobie rady.

— Lepiej, jeśli i ja wam coś pomogę.

Żółty kucharz i jeszcze dwóch marynarzy stało przed kuchnią, paląc i rozmawiając. Reszta była na dole przy obiedzie. Rozłożyłem kartę. Nachyliliśmy się nad nią i rozpoczęli ożywioną rozmowę, podczas której często głośno się sprzeciwiałem. W takiej jednej chwili otworzył Abraham drzwi do kajuty załogi i wyszedł z nich swym kołyszącym się chodem, za nim zaś ukazała się gromada innych. Szli ku nam, zapalając sobie po drodze fajki. Helga kłóciła się ze mną coraz gwałtowniej, a i Abraham przyłączył się wkońcu do naszej sprzeczki.

— Komedya dosyć długo już trwa — szepnąłem wreszcie do Helgi. — Teraz zaczynajmy! Niech nam Bóg dopomoże.

Nieraz już w mojem życiu byłem w wielkiem niebezpieczeństwie i wiedziałem, co to znaczy zajrzeć śmierci w oczy. Kiedyindziej jednak ryzykowałem tylko własne życie, gdy szło o ratowanie z morza życia innych i wtedy czyniłem to z lekkiem sercem. Dzisiaj zaś jakby cetnar spadł mi na serce. Gdyby bowiem Malajczycy powzięli najmniejsze podejrzenie, w kilku sekundach leżelibyśmy wszyscy, podziurawieni nożami.

Kiedy podszedłem do drzwi, prowadzących do kajuty marynarzy, spotkałem się z Nakirem, który spieszył do mnie, prawdopodobnie przez kogoś z załogi wezwany.

— Jeszcze więcej odpowiednich portów jest na południowym cyplu Afryki — zagadnąłem go. — Ja nie zgadzam się na to, abyśmy płynęli do przystani Moselskiej. Co ludzie wasi o tem mówią?

— Oni wszyscy myśleć tak, jak ja.

— Dlaczego właściwie mamy koniecznie opływać Agulhas? Czyż nie wiecie o tem, że w zatoce Simońskiej zwykle stoją okręty wojenne i że łatwo możemy się natknąć na krążownik?

Ludzie zaczęli się przysłuchiwać, wyciągając ku nam głowy.

— Nie zgadzam się w tej sprawie z panem Tregarthenem — wmieszała się Helga do rozmowy. — Obawia on się, że na południu spotkają nas silne wichry wschodnie i wzburzone morze, tymczasem ja sądzę, że bez niebezpieczeństwa opłyniemy Przylądek.

— Nie! nie! — zawołał Nakir. — Nie wiatr wschodni, ładne, równe morze.

— Mojem zdaniem jest to śmieszne żądanie — odezwałem się rozkazującym tonem — aby płynąć do zatoki Moselskiej. Przecież aby dostać się do Kapsztadu, możecie wylądować równie dobrze z tej strony Agulhas.

Oczy Nakira zabłysły złowrogim ogniem.

— Abraham i jego towarzysz zgadzają się ze mną — dowodziłem zawzięcie — a panna Nilsen przeciwnie obstaje przy zatoce Moselskiej. Nie możemy się pogodzić. Oto tutaj mam kartę południowej Afryki. Zwołaj wszystkich razem. Wyjaśnię im na karcie, co ja o tem wszystkiem myślę. Jeśli mimoto będą obstawali przy tem, abyśmy popłynęli do zatoki Moselskiej, to ostatecznie zgodzę się z tem. Czy w waszej kajucie macie stół, na którym moglibyśmy rozłożyć kartę?

— Tak panie, ale... — Nakir spojrzał niepewnym wzrokiem na Helgę.

— O, to najmniejsze, zejdę pierwsza na dół, zaśmiała się — jestem równie dobrym marynarzem, jak każdy z was i przyzwyczajona jestem do wspinania się.

Wszyscy ci brązowi i żółci ludzie przypatrywali się z pewnego rodzaju podziwem, jak Helga lekko i zręcznie spuściła się w głąb statku po drewnianych klockach, które służyły zamiast stopni. Po niej ja zszedłem, a za mną jeden za drugim spuścili się wszyscy Malajczycy. Mała przestrzeń, którą skąpo oświetlała kopcąca lampa tranowa, a która prócz kilku hamaków i kupy ubrań nie zawierała nic osobliwego — napełniła się szczelnie fantastycznymi postaciami.

Rozłożyłem na stole przyniesioną kartę. Wszystkie głowy pochyliły się nad nią z zaciekawieniem. Helga przytrzymywała ją z jednej strony, zaś Nakir z drugiej strony stołu.

Spojrzałem wokoło. Oczom moim przedstawił się tak fantastyczny obraz, że nie zapomnę go przez całe życie.

— Patrzcie — rozpocząłem przemowę; — obliczcie sobie, ile czasu oszczędzimy i ile mil drogi mniej zrobimy, jeśli popłyniemy do zatoki św. Heleny, albo do zatoki Saldańskiej zamiast do portu Moselskiego. Tutaj w środku pływają okręty wojenne. Wyobraźcie sobie, że zatrzyma nas krążownik, co wtedy?

Kilku, którzy mnie zrozumieli, spojrzeli pytająco na Nakira; po chwili jeden z nich zapytał się, jak daleko jest od zatoki Saldańskiej do Kapsztadu. Nakir odpowiedział kilku gwałtownymi słowami, poczem pytający postawił palec na karcie w tem miejscu, które ja wskazywałem, mówiąc o okrętach wojennych i zrobił wokoło szyi charakterystyczny ruch zakładania stryczka.

Nakir skoczył.

— Nie! — nie!

Tamten zwrócił się wprost do mnie, pytając z uporem.

— Jak daleko?

— Aby odległość dokładnie oznaczyć, muszę przynieść kompas. Za kilka minut wrócę.

W tej chwili Helga zawołała z dobrze udanym przestrachem:

— Panie, proszę mnie tu samej nie zostawiać! Ja także z panem pójdę!

Zaczęła drapać się w górę, ja tymczasem przemawiałem gorąco do Malajczyków i pokazywałem na karcie, przytrzymując teraz jeden z jej rogów, to tu, to tam, chciałem bowiem odwrócić uwagę ich od Helgi. Ponieważ zauważyłem, że największe wrażenie na słuchających robiło to, co mówiłem o okrętach wojennych, powtarzałem im to kilkakrotnie.

— Wprawdzie nie brałem udziału w zamordowaniu kapitana i sternika i tej zbrodni nie jestem winien, ale byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby nagle u nas na pokładzie zjawił się oficer i tuzin żołnierzy — przedkładałem z zapałem. — Jakże bowiem wykazałbym mą niewinność? Przecież ty, Nakirze, nie wystąpisz naprzód, aby opowiadać, że my trzej Anglicy i ta pani nie braliśmy udziału w mordzie? — Słowa moje unosiły mnie i energicznie grzmotnąłem pięścią w stół. — Czyż wobec tego ta strona wybrzeża nie jest bezpieczniejsza, a nadto blisko położona?

— O ile bliżej? — dopytywać się zaczął ten sam człowiek, który już przedtem zwracał się do mnie.

— Chodź tutaj - skinąłem na niego — potrzymaj róg karty. Panna Nilsen widocznie nie może znaleźć kasetki z instrumentami. Muszę zawołać Mr. Visego.

Wreszcie nadeszła rozstrzygająca chwila!

W drzwiach odwróciłem się i krzyknąłem do Nakira wyzywająco i drwiąc:

— Wytłómacz twoim ludziom, że stryczek wisi im już nad szyją, zwłaszcza jeśli spotkamy jaki okręt wojenny.

Dwoma skokami dosięgnąłem pokładu i w tej samej sekundzie przy pomocy Abrahama i Jakóba zasunąłem gwałtownie rygle u drzwi wchodowych, zamykając we wnętrzu statku całą malajską załogę.

Podstęp za podstęp.

Serce biło mi tak, że rozsadzało mi piersi. Nerwy naciągnięte do niemożliwych granic, wypowiadały mi posłuszeństwo. Byłem bliski omdlenia...

Tuż obok drzwi, prowadzących na dół z pokładu, stali obaj moi towarzysze, dzierżąc w rękach ciężkie sztaby żelazne, gotowi rozwalić każdy łeb, który za mną z głębi by się był pokazał.

— Anim przypuszczał, że ci przebiegli i podstępni chłopcy dadzą się tak łatwo złapać w pułapkę! — krzyknął Abraham, którego twarz promieniała wprost radością. Był to najwspanialszy teatr w mojem życiu.

Nasłuchiwałem... na dole nic się nie ruszało. Żaden krzyk ani pukanie się nie odezwało. Zastanawiałem się, czy zamknięci na dole poddawali się spokojnie jako prawdziwi muzułmanie swemu losowi?

Drzwi były bardzo grube, a żelazne zawiasy i okucia tak dobrze je zabezpieczały, że o wyłamaniu się tą drogą nie mogli nawet myśleć. Również gdyby się byli chcieli przez magazyny wydostać na wierzch, musieliby pokonać prawie nieprzezwyciężone przeszkody.

Mimo wszystko, co się stało, odczuwałem dla zamkniętych dziwne współczucie i chciałem dać im przynajmniej zapewnienie, że nie skarzemy ich na śmierć głodową. Podszedłem więc do otworu dla powietrza, który umieszczony był pod głównym masztem i zacząłem wołać przez niego jakby do tuby:

— Hej — wy tam na dole!

Dłuższy czas nawoływałem nadaremnie, wreszcie odpowiedziano mi z dołu; głos jednak był bardzo słaby.

— Zaopatrzymy was dostatecznie w żywność i wodę; powietrze odświeżać wam będzie ten otwór. Wyjść wam nie wolno! Jeśli zrobicie najmniejsze usiłowanie, aby się uwolnić, bez litości skarzemy was na śmierć z głodu i pragnienia.

Tak! teraz niech Nakir przetłómaczy moje słowa swym towarzyszom. W każdym razie jednak postawiłem Jakóba przy drzwiach na warcie.

Jak poprzednio ułożyliśmy, należało teraz zwrócić okręt ku wyspom Kanaryjskim, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć ratunek.

Helga stała jeszcze ciągle przy sterze, a kiedy do niej podszedłem, wyciągnęła do mnie obie ręce. W tej chwili miłość moja, tłumiona dotychczas przez strach, troski i niebezpieczeństwa, wybuchnęła z całą gwałtownością. Objąłem moje dzielne kochanie i pokryłem rumieniącą się twarzyczkę pocałunkami. Abraham odebrał od Helgi koło sterowe i dyskretnie odwrócił się od nas, pokazując swe barczyste plecy.

— Do tego musieliśmy dojść, mój skarbie! — szepnąłem. — Teraz już jesteś moją! Moją przez biedną „Aninę“ jako spadek przekazany mi przez twego ojca!

Wysunęła mi się zgrabnie z uścisku, nie było czasu na to, abyśmy dali opanować się uczuciu. Statek płynął przy pełnych żaglach, a nas było tylko trzech ludzi do zwijania i rozwijania żagli. Helga zajęła się rozpatrzeniem karty. Policzki jej pałały, a oczy błyszczały jak karbunkuły. Według obliczeń kapitana Buntinga, 31 października znajdowaliśmy się na wysokości Madery. Burza, panująca 1 i 2 listopada, zagnała nas bardziej na południe, a dzisiaj 3 listopada odległość do wysp Kanaryjskich wynosiła kilka set mil morskich.

Ponieważ spodziewaliśmy się, że lada chwila spotkamy jakiś okręt, wyszukaliśmy flagę angielską i umocowali na linie flagowej niebieską częścią na dół. Odwrócona flaga w mowie marynarzy powiada: „W najwyższem niebezpieczeństwie!“. Przygotowaliśmy ją tak, aby ją każdej chwili można było na maszcie wywiesić.



Przepięknie wygląda jej ciemna postać.

Gdybyśmy spotkali okręt handlowy, z góry nie spodziewaliśmy się wielkiej pomocy. W każdym razie liczyliśmy na to, że nam da pomoc w formie kilku ludzi, przy pomocy których dobilibyśmy do najbliższego portu. Jakżeż bardzo potrzebowaliśmy jeszcze kilku ludzi. Przekonaliśmy się o tem niebawem, kiedy po ukończeniu roboty, garstka nasza zebrała się na pokładzie, wyczerpana do ostatnich granic.

Co się z nami stanie, gdy nadejdzie burza i trzeba będzie zwinąć wszystkie żagle! Zaproponowałem Abrahamowi i Jakóbowi, czy nie możnaby wezwać do pomocy jednego lub dwóch Malajczyków, którychbyśmy wybrali z pośród uwięzionych. Odstąpiłem jednak od mojego planu, ponieważ obaj uznali go za zupełnie niewykonalny i niebezpieczny.

Porobiliśmy więc przygotowania do zaopatrzenia załogi w żywność. Kazałem Jakóbowi ugotować porcyę mięsa wołowego, wystarczającą na kilka dni i napełnić duży kubeł świeżą wodą. Prawdopodobnie na dole we wnętrzu okrętu panowało nieznośne gorąco, gdyż słaby wiatr wpychał przez otwory tylko bardzo mało świeżego powietrza do środka, a słońce cały dzień świeciło na pokład. Spieszyliśmy się więc, aby jak najprędzej ulżyć cierpieniom naszych więźniów i nie przedłużać ich męczarni bez potrzeby. Mimoto zeszło prawie do piątej, nim ukończyliśmy przygotowanie zapasów. Czekała nas jeszcze najtrudniejsza sprawa. Aby więźniom podać żywność, musieliśmy, narażając się na niebezpieczeństwo, otworzyć drzwi.

Uzbroiliśmy się wszyscy żelaznymi drążkami, poczem zacząłem wołać przez otwór powietrzny. Odpowiedziano mi uatychmiast:

— Tak panie! W imię Allaha! — Wody! wody! — doszedł do mnie głucho głos Nakira z głębi okrętu.

— Damy wam zaraz jeść i pić — odpowiedziałem — Ale tylko jeden z was może przyjść odebrać żywność. Jeśli przy otwieraniu drzwi zobaczymy więcej ludzi, zamkniemy je natychmiast i nie dostaniecie nic jeść, ani pić. Poślijcie Punmeamootty'ego!

— Przysięgamy na Allaha, tylko jeden przyjdzie — odpowiedział mi głos z głębi.

Podszedłem do drzwi, przy których stali Abraham i Jakób, gotowi do odparcia napadu. Otworzyłem zamek i odchyliłem drzwi o kilka cali. Światło słońca nie pozwoliło mi w pierwszej chwili nic dojrzeć w ciemnościach za drzwiami. Na moje wezwanie zgłosił się Pnumeamootty, bardzo pokorny i drżący.

— Pokaż ręce! — krzyknąłem, a on wyciągnął przed siebie oba ramiona, rozkładając palce, jak to czynią tonący.

— Niema nikogo więcej z tobą?

— Wszyscy z tyłu! Wszyscy z tyłu! — wyjąkał przerażony.

Jak mogłem najszybciej, podałem mu kilka worków sucharów, ugotowane mięso i naczynie z wodą. Kiedy zasuwałem z powrotem rygle, usłyszałem w głębi głośny krzyk, nie zastanawiałem się jednak nad tem, ale spełniwszy swoje, odszedłem, pozostawiając Jakóba na straży.

Kiedy w kilka godzin potem spożywaliśmy oboje z Helgą skromną kolacyę, wezwał mnie Jakób do siebie.

— Obawiam się, że te draby duszą się — oświadczył mi — pukają ciągle i krzyczą przez otwór.

Posłuchałem chwilę i doszedł mnie słaby głos z dołu:

— Powietrza, albo wszyscy musimy umrzeć!

— Nie możemy im inaczej pomódz, jak drzwi trochę uchylić — tłómaczył Jakób. — Zaczekajcie, mam pomysł! — krzyknął nagle, uderzając się w czoło i z szybkością, która dawała dowód jego dobrego serca, pobiegł, a po chwili powrócił z dwoma kawałkami drzewa, jakie w łodzi służą za oparcie nóg dla wiosłujących. Te deseczki wsadził w szparę drzwi tak, iż powstał przez to dość duży otwór, który pozwalał na dostateczny dopływ powietrza, przez który jednak nawet najzwinniejsze ciało nie mogłoby się prześlizgnąć. Zbadałem następnie wytrzymałość zamknięcia, poczem zawołałem do środka:

— Jak tam teraz się czujecie?

Przez chwilę dochodził mnie z głębi tylko głuchy pomruk, zbliżający się ku drzwiom, wreszcie rozróżniłem głos Nakira.

— *Allee right*, panie! O jak pięknie teraz oddychać! Dlaczego trzymacie nas tu zamkniętych?

Na dalsze przedstawienia i prośby nie odpowiedziałem ani słowa, cieszyłem się tylko, że mogłem przynieść im trochę ulgi. Pewnem uczuciem strachu przejmowała mnie tylko myśl, że, mimo bardzo silnego zamknięcia, ostatecznie Malajczycy mogliby teraz o wiele łatwiej wyważyć drzwi. Ani chwili też nie pozostawiliśmy drzwi tych bez straży i naprzemian zaciągaliśmy wartę. W ten sposób wlokły się straszne, utrudzające godziny, mimo, iż nad oceanem cudna noc roztoczyła cały swój przepych.

Miliony gwiazd błyszczały na firmamencie, morze świeciło i rozpryskiwały setki perlistych fontan, a miesiąc znaczył srebrzystą drogę po ciemnej fali. Chwilami tylko, gdy na ramieniu uczuwałem rękę mej ukochanej, uczucie obawy ustępowało miejsca radosnemu szczęściu. Stary ocean sam ofiarował mi ją jako drogocenny klejnot mej miłości i kazał mi zdobyć jej serce w nieszczęściu i niebezpieczeństwie.

Ciąg dalszy nastąpi.

Od Wydawnictwa.

Zapowiedziany przez nas specyalny numer **„Galicya w sezonie letnim"** obudził żywe zainteresowanie. Jednakże w czasie rozpoczętego druku tej wspaniałej publikacyi nadeszły tak cenne i poważne materyały w fotografiach i artykułach, że pominięcie ich byłoby ze szkodą samej publikacyi.

Ponieważ zaś druk całości wobec tak olbrzymiego materyału nie mógłby być ukończony przed rozpoczęciem letniego sezonu, dla którego publikacya została przeznaczona, postanowiliśmy przeto na razie przesunąć termin wydania publikacyi o kilka miesięcy i przygotować piękne i obszerne dzieło z początkiem r. 1914.

Wszystkie zamówienia inseratowe do tej publikacyi pozostają w mocy nadal. W razie gdyby który z inserentów inaczej postanowił, zechce w tej sprawie porozumieć się z Redakcyą.



Z sezonu wyścigowego: Pierwszy dzień wyścigów w Krakowie.

Z sezonu wyścigowego.

Pod znakiem „pecha" rozpoczęły się tegoroczne wyścigi w Krakowie. Dawno już nie mieli zwolennicy totalizatora tylu niespodzianek, co w pierwszym dniu wyścigów. Mimo chłodnego powietrza na tor wyścigowy pospieszyły tłumy Krakowian. Przybyła także licznie arystokracya z księstwem Radziwiłłami i hr. Andrzejową Potocką na czele. Na chwilę pojawił się także namiestnik dr. Korytowski.

Sensacyą dnia był fakt, iż tylko w dwu biegach zwyciężyły faworyty, w innych biegach wygrywały przeważnie „fuchsy". Pierwszy bieg zdobyła „Pani Dulska" Adama Ostaszewskiego. W drugim biegu niespodziewanie w ostatniej chwili zwyciężyła „Granica" por. Rosenthala, bijąc konie pp. Ułaszyna i Zangena.

Trzeci bieg zdobył „Jekow Mount" Hagelina, który szedł z początku ostatni. Największą niespodzianką był bieg czwarty, w którym zwyciężył „Dalej" Łukasiewicza, a totalizator wypłacił za ten bieg najwyższą stawkę, bo 90 K za 10 K.

Meeting krakowski obliczony jest na kilka dni i potrwa cały tydzień. O ile inne dni będą także pod znakiem „fuchsa", totalizator obróci znacznemi sumami, a szczęśliwi gracze wyniosą sporo grosza z krakowskiego toru wyścigowego.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, gdy po pierwszym biegu jeźdźcy udają się do wagi.



Leśnicy w Wilanowie: Grupa członków wydziału leśnego przy Centr. Tow. Roln. i słuchacze kursów leśnych na tle pałacu wilanowskiego. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Tydzień bieżący znajduje się stanowczo pod znakiem litery „w“, zajmują nas bowiem wybory, wyścigi i wojna.

Zanim jednak zabiorę się do powyższego porządku dziennego, muszę kilka słów poświęcić sprawie, którą poruszyłem w poprzedniej kronice.

Zastanawiałem się tam nad strasznemi krzywdami, jakie dzieją się u nas Rusinom i doszedłem do wniosku, popartego rzeczowymi dowodami, iż są oni najbardziej uprzywilejowanym w Galicyi narodem, nawet bowiem dziatwie Izraela, uważającej kraj nasz za ziemię obiecaną, tak się tu dobrze nie dzieje.

W odpowiedzi na to otrzymuję codziennie listy z różnych stron kraju z przedstawieniem faktów, mających stwierdzić, że rzeczywiście dzieje im się krzywda i to o pomstę do nieba wołająca.

Z pomiędzy tych korespondencyi wybieram jedną, najwymowniejszą ze wszystkich i pozwolę sobie streścić ją poniżej.

Otóż, w jednem z galicyjskich gimnazyów we wschodniej części kraju była zajęta cała gromada tak zwanych zastępców nauczycieli, czyli suplentów obu narodowości. I jedni i drudzy dopraszali się pokornie, aby przełożona władza, to jest Rada Szkolna krajowa, raczyła ich przenieść do któregoś z miast uniwersyteckich, gdzie są biblioteki i zakłady, ułatwiające przygotowanie się do egzaminu profesorskiego, głos ich był jednak głosem wołającego na pustyni. Rada Szkolna krajowa była jednak nieczułą, odnośny pan inspektor tłumaczył się, że wszystkie miejsca w obu stolicach kraju są zajęte.

Tymczasem zdarzyło się, że jeden z adeptów stanu profesorskiego, narodowości ruskiej, coś zbroił, dyrektor zasuspendował go i zawiadomił o tem Radę szkolną krajową, a ta, przeczytawszy *curriculum vitae* winowajcy, przeniosła go za karę... do Krakowa.

Otóż mój informator uważa to za wielką krzywdę, jaka spotkała młodzieńca, ja zaś dodam, że każdy z suplentów Polaków byłby to uważał za ogromne dobrodziejstwo dla siebie. Byłby się zgodził nawet na przeniesienie na własny koszt, troskliwa bowiem o zbawienie dusz Rada Szkolna krajowa, pamiętając o zdaniu, że „błogosławieni ubodzy“, takimi chciałaby widzieć i suplentów, na koszta przeniesienia asygnuje więc aż pięćdziesiąt koron(!), z których potem każe zwracać prawie połowę.

Bardzo słusznie! Suplent nie ma mieć zbyt wiele pakunków, zupełnie wystarczyć mu powinien parasol i pudełko z kołnierzykami, ze względu na zdrowie drogę, n. p. ze Lwowa do Krakowa, może odbyć pieszo.

Wracając do rzeczy, jestem zupełnie innego zdania, niż pan, oburzający się na niesprawiedliwość Rady Szkolnej krajowej. Ostatecznie zgadzam się, że postąpiono niesprawiedliwie, ale tylko wobec kolegów przeniesionego, którzy wzorowo się prowadzili, łatwo bowiem zdarzenie całe mogłyby mieć następujący epilog (i kto wie, czy go nie miało!):

Dwu suplentów rozmawia na temat swego przeniesienia.

— Mój Boże, jakiejby tu protekcyi użyć, aby człowiek mógł się dostać do Krakowa lub Lwowa? — powiada jeden.

— Trzeba chyba coś zbroić, może wtedy przeniosą tam człowieka za karę! — odpowiada drugi.

— Ba!... Kiedy ja nie jestem Rusinem!... — kończy z westchnieniem pierwszy.

I miałby był racyę, jeśli tak powiedział, wówczas byłaby go pewnie spotkała taka strasza krzywda!

Na tem kończę wywody, jakie nasunęły mi się pod pióro z okazyi tragicznego zgonu ś. p. profesora Butkowskiego. Nie namawiam wcale do bojkotu Rusinów na ziemi polskiej, owszem, jestem zdania, że powinniśmy ich, jako braci stryjecznych, przyjąć gościnnie na swych śmieciach, ale... nie dajmy się za nos wodzić!

A oni pragnęliby doprowadzić do tego, już nie we Lwowie, ale nawet w Krakowie, który chyba nigdy nie miał pretensyi należenia do Ukrainy, nawet najbardziej zachodniej, sięgającej według twierdzenia prof. Hruszewskiego aż poza Nowy Sącz...

Rządowi to na rękę, że oba narody, kraj ten zamieszkujące, drą ze sobą koty. Stara, jeśli się nie mylę, Metternichowska dewiza: *divide et impera* święci w Galicyi tryumfy i ułatwia Wiedniowi kierowanie polityką.

Wracajmy jednak do porządku dziennego, który o tyle ulegnie zmianie, że na pierwszy jego punkt wysuwa się wojna.

Serce moje, choć słowiańskiego pochodzenia, rozpiera gwałtownie radość. Jestem nią wzdęty, niczem krowa, która objadła się koniczyny.

Bo proszę sobie przypomnieć, czy przypadkowo nie przepowiedziałem, że cała bałkańska impreza skończy się na tem, iż członkowie Unii bałkańskiej wezmą się za łby?... Tak jest, są to moje *ipsissima verba*, a ktoby chciał zaprzeczyć, tego wyzywam na udeptaną ziemię, pozostawiając mu nawet wybór broni, taki jestem pewny siebie!

Idę jeszcze dalej i prorokuję, że te wiadomości wojenne z Bałkanu to tylko strachy na Lachy, obaj bowiem waleczni, król Piotr i car Ferdynand, straszą się tylko wzajemnie, ale obaj mają przed sobą boja, Europa zresztą nie dopuści do tego, aby sprawy bałkańskie, więc ich familijno-domowe, miały się stać zarzewiem, z którego mogłaby powstać europejska pożoga.

Bułgarzy pamiętają Sliwnicę, nie mają jednak Battenberga, Serbowie zbyt wiele liczą na pomoc zewnętrzną, która ich przecież tyle razy zawiodła!

Wszak znalazł się jakiś serbski dyplomata z pod ciemnej gwiazdy, który obwieścił światu, iż kilka miesięcy temu miała dynastya Karageorgewiczów wielki apetyt na... podzielenie się austryacko-węgierskiem terytoryum z swymi politycznymi przyjaciółmi!

Spaliło wówczas na panewce, zdaje się, że i teraz będzie to samo, król Piotr najlepiej zrobi, jeśli się poda na pensyę, a podobno już szukają dlań willi pod Genewą, gdzieby mógł spokojnie spędzić stare lata, nie będąc narażonym na widok tak teraz znienawidzonego koburskiego nosa, który chyba nie sięgnie aż do Szwajcaryi.

Czy spełni się i ten dalszy ciąg przepowiedni, nie wiem, prorocy mylą się czasem. Nawet cesarz Wilhelm śmieje się w kułak z pani de Thébes, która wywróżyła na r. 1913 koniec państwa Hohenzollernów i wyraźnie zaznaczył w przemowie swej do Carnegie'go, że z ufnością w przyszłość zaczyna drugie dwudziestopięciolecie swych rządów. Zaprosił go nawet na złoty jubileusz.

Z kolei rzeczy drugie miejsce należy się wyborom, do których przygotowujemy się pełną parą, gdyż są już tuż przed nami. Agitacya wre w całej pełni w mieście i na wsi, na rogach ulic pojawiają się już zwiastuny wyborów, plakaty. Jeden z nich, jeżeli wierzyć „Gazecie poniedziałkowej“, podpisało aż ośmiu nieboszczyków. Świadczyłoby to o ogromnem zajęciu się tą sprawą.

Na brak kandydatów narzekać nie możemy, miał słuszność ten, kto powiedział, że będą mnożyć się, jak grzyby po deszczu. W samym Krakowie mamy już trzy listy: mieszczańską, „Nowej Reformy“ i endecką, na bieżący tydzień zapowiedziano ich jeszcze kilka, tak, że gotowiśmy doprowadzić do tuzina. Ułatwi to wyborcom oryentacyę, a hyenom pracę agitacyjną, wobec bowiem ogólnej kołowacizny, będą mogły tem łatwiej przeprowadzić „płacących“ kandydatów.

W zachodniej Galicyi ludowcy stają do zaciętej walki z endekami i sprzymierzonymi z nimi Stojałowszczykami, którym teraz przewodzi Zamorski. Która partya zwycięży, dotąd nie wiemy, wiadomości bowiem, jakie dochodzą do nas o przebiegu prawyborów, są akurat tak pewne, jak telegramy z pola walki na Bałkanie. Według depesz z Konstantynopola Turcy bili Bułgarów, aż trzaski leciały, *via* Sofia i Belgrad szły wieści, że już ostatni Turek przeprawił się przez Bosfor i uciekł do Azyi.

Dziś powtarza się jota w jotę to samo. Prasa popierająca ludowców otrąbiła zwycięstwo pana Jana Stapińskiego na całej linii, przeciwny obóz zawiadamia też o swych sukcesach i zupełnej klęsce ludowców! I tak, w koło Macieju...

Z kuryi wiejskiej nie spodziewajmy się jednak wielkich niespodzianek, tam kiełbasa wyborcza i jawność wyborów zrobią swoje, więcej zacietrzewienia spotka się po miastach, gdzie zetrą się ze sobą najróżnorodniejsze odcienia demokracyi, należącej do nowego i starego zakonu.

I tutaj kiełbasa wyborcza odegra odpowiednią rolę, przygotowania już w całej pełni. Czuć jej zapach w powietrzu, niejeden biedak łyka jednak naprózno ślinkę, według bowiem dawnej ordynacyi wyborczej, do wyborów sejmowych stosunkowo mało ludności jest dopuszczonej. Nic też dziwnego, że celem ożywienia akcyi wyborczej starają się mieszkańcy Królestwa Galicyi i Lodomeryi o dopuszczenie do urny wyborczej jak najszerszych mas, wyjdzie na tem dobrze przemysł krajowy, głównie zaś święta propinacya.

Jako zupełnie bezstronny człowiek nie popieram osobiście żadnego z kandydatów, co najwyżej mógłbym przemówić za Aronem Gajerem, z którym od lat dwudziestu kilku pozostaję w stosunkach handlowych, nie wiem jednak, czy kandyduje oficyalnie, gdyż, jak dotąd, nazwiska jego na żadnym afiszu wyborczym nie widziałem.

Wreszcie wspomnieć muszę i o wyścigach, łączącej się z nimi reducie prasy i przybyciu do Krakowa nowego pana namiestnika, a mogę o tem pisać tem swobodniej, iż w żadnej z tych uroczystości udziału nie brałem, nikt więc nie będzie mógł mi zarzucić, że nie jestem bezstronny.

Żałuję, że nie byłem w niedzielę na wyścigach, pan namiestnik byłby bowiem rozmawiał obok trybuny z pewnością ze mną, a nie z panem Rosnerem. Innych dziennikarzy, nie poniedziałkowych, na widok ten przejęła żółta zazdrość, dzięki Bogu przynajmniej, że było ich tam niewielu, reszta urządzała tymczasem letnią redutę prasy w „Oleandrach“.

I zakrawili panowie komitetowi serca wielu niewiastom, które spodziewały się, że będą dla swych wdzięków premiowane na konkursie piękności, rozdanie bowiem nagród odłożono do przyszłego tygodnia. Powodem był, o ile się zdaje, niezbyt liczny udział publiczności, która bała się deszczu.

Na ogół reduta wypadła dobrze. Był koncert muzyki i chórów, były confetti i inne śmiecące zabawy, głodomór, wróżby, kabaret, tańce... słowem za koronę, względnie pięć koron, miałeś cały huk rozmaitości.

Słyszałem, że podobno przez całe wakacye ma się w „Oleandrach“ produkować zupełnie oryginalny głodomór. Ma nim być tymczasowy nauczyciel ludowy młodszy, który zobowiązał się wstrzymać od jedzenia i picia przez dwa miesiące wakacyjne. Kontrolę nad nim obejmie specyalny delegat Rady szkolnej krajowej. W miarę, jeśli powiedzie się przedsięwzięcie, postanowiła Rada szkolna wysnuć z tego odpowiednie wnioski i zastosować je praktycznie.

Wyścigi powiodły się, tak mi przynajmniej opowiadał mój przyjaciel, niejaki pan Totalizatorowicz, który wygrał kilkadziesiąt koron. Lubi on wszystkim robić na przekór, faworytami jego były więc najmniej obstawione konie.

I pokazało się, że miał dobry węch, prawie żadnej stawki nie przegrał.

Ja nie wybieram się na tor wyścigowy, chyba dopiero w przyszłą niedzielę. Wówczas będzie, jak wiadomo, bieg losowania, może poszczęści mi się i wygram jakiego rumaka. A przydałby się!... Jeździłbym sobie codziennie popołudniu z moją starą na spacerek.

W totalizatora grać nie myślę, wiem bowiem z doświadczenia, że jako mający szczęście w miłości (inaczej byłbym się chyba nie ożenił), nie miałbym go w grze.

Na zakończenie, aby zgniewać nasze panie sufrażystki, pozwolę sobie zaznaczyć, że nie tylko ja patrzę się dość sceptycznie na różne ich, nibyto szlachetne, porywy. Takich jest więcej, a prym między nimi wiedzie dr. Clairmont, dyrektor austr. Czerwonego Krzyża w Bułgaryi, który w sprawozdaniu swem z wojny bałkańskiej oświadcza stanowczo, że prawie sto procent samarytanek nie odpowiedziało swemu zadaniu.

Do sali operacyjnej pchały się gromadnie, aby podrażnić swe nerwy widokiem krwi, gdy jednak trzeba było pomódz choremu, poprawić bandaże, przenieść go na łóżko... cofały się dyskretnie i zostawiały to mężczyznom.

Konkluduje, że na następną wojnę wybierze się już bez damskiego towarzystwa.

I ma racyę!

Prezes Polskiego Towarzystwa pedagogicznego.

W jednym z poprzednich numerów podaliśmy podobiznę p. Ferdynanda Szczurkiewicza, który został wybrany prezesem lwowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa pedagogicznego, (a nie prezesem Polskiego Towarzystwa pedagogicznego, jak mylnie wydrukowano). Oddział lwowski tego Towarzystwa nie skupia całego nauczycielstwa, lecz tylko jego odłam i jest też oddziałem, podobnie jak kilka innych prowincyolnalnych oddziałów Polskiego Towarzystwa pedagogicznego, o własnej autonomii. Prezesem Polskiego Towarzystwa pedagogicznego na ostatniem walnem zgromadzeniu został wybrany p. Józef Piórkiewicz, dyrektor jednej z lwowskich szkół ludowych, człowiek wielkich zasług i pracy na polu szkolnictwa ludowego.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobiznę nowego prezesa Polskiego Tow. pedagogicznego.



Prezes Polskiego Towarzystwa pedagogicznego: Dyr. Józef Piórkiewicz.



Dzień sportowy w Warszawie: Loża sędziów na popisie w Agrykoli. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Leśnicy w Wilanowie.

W tych dniach odbyło się w Warszawie ogólne zebranie członków wydziału leśnego Centr. Towarzystwa rolniczego. W obradach tych, którym przewodniczył hr. Plater, poruszono szereg spraw, związanych z podniesieniem gospodarki leśnej w kraju. Między innemi zaznaczono konieczność założenia szkoły leśnej w Warszawie dla praktycznego i teoretycznego przygotowania niższych techników leśnych, której brak dotkliwie daje się odczuwać.

Jednocześnie z zebraniem wydziału leśnego odbyło się zamknięcie tygodniowego kursu dla praktyków-leśników, który pomimo tak krótkiego czasu wydał doskonałe rezultaty.

Liczne grono leśników odbyło też wycieczkę do Wilanowa, gdzie zwiedzono zarówno pałac i park, jak i gospodarstwo.

Dzień sportowy w Warszawie.

Gry ruchowe młodzieży zyskują sobie coraz bardziej prawo obywatelstwa i u nas, gdzie, nie tak jeszcze dawno, dość się na nie sceptycznie zapatrywano. Widząc, jak rozwinęły się zagranicą, głównie w Anglii i Szwecyi, uznano je za bardzo ważny czynnik pedagogiczny i otoczono opieką, na jaką zasługiwały.

Zasada: „W zdrowem ciele zdrowy duch", głoszona przez nasze Sokolstwo, zyskuje też z każdym dniem coraz więcej zwolenników.



Leśnicy w Wilanowie: Wycieczka leśników przy karczowaniu drzew maszyną „Australia". (Fot. M. Fuks, Warszawa).



Szkoła gospodarstwa domowego w Krakowie: Wystawa robót artystycznych.

Onegdaj w Warszawie odbył się po południu w parku Agrykola doroczny „Dzień sportowy“ Sekcyi gier ruchowych, na który złożyły się rzuty: dyskiem, oszczepem, kulą i piłką uszatą; skoki: wzwyż, w dal i o tyczce; biegi: 100 metrów, 110 m. z dziesięciu przeszkodami, pocztowy 600 m., 1000 m. i bieg na przełaj.

Wynik był na ogół zadowalający.

Szkoła gospodarstwa domowego w Krakowie.

Od trzech lat istnieje w Krakowie, założona przez miasto, szkoła gospodarstwa domowego. Mieści się ona w obszernym lokalu przy ul. Pędzichów l. 15. Zadania tej bardzo pożytecznej i potrzebnej szkoły są wszechstronne i obejmują wszelkie gałęzie gospodarstwa domowego, tak, iż uczenice opuszczające szkołę są już doskonale przygotowane do samodzielnego prowadzenia gospodarstwa domowego.

To też szkoła ta cieszy się gorącem poparciem ogółu, który uznaje jej potrzebę i zalety, zwłaszcza w odniesieniu do dzisiejszych czasów, kiedy drożyzna wymaga stanowczo dobrej gospodyni w każdym domu, któraby umiała zastosować rozmiary gospodarstwa domowego do warunków, w jakich gospodarzyć jej przychodzi.

Jak w latach poprzednich, także w tym roku szkoła na zakończenie nauki urządziła popis uczenic, oraz piękną i obszerną wystawę. Popis był dla gości zaproszonych dosyć sympatyczny. Przy bogato zastawionym stole uczenice sprezentowały po kolei swoje umiejętności w dziedzinie sztuki kulinarnej. Gotowały uczenice pod kierunkiem p. Izy Rakiewiczówny, a do stołu podawały także uczenice przy pomocy p. Sauera, który uczy w szkole podawania potraw.

Ten gastronomiczny egzamin wypadł, jak zapewniali znawcy, doskonale.

Następnie zebrani zwiedzili wystawę robót ręcznych, umieszczoną w siedmiu salach. Największa sala obejmuje wystawę bieliźniarstwa, pozostającego pod kierownictwem p. Żulińskiej. Dwie sale zajęła wystawa nauki prania i prasowania. Dział ten prowadzi p. A. Łuszczyńska. Dalsze sale zajęły kurs krawieczyzny, prowadzony przez pp. M. Dyndowiczównę i Rawiczównę i kurs praktycznych robót artystycznych, który prowadzą pp. M. Przybylska i Z. Majerówna. W ostatniej salce urządzono wzorowy pokój z nakryciem stołu na cztery osoby.

Wystawa była otwarta przez dwa dni, a zwiedziły ją tłumy publiczności.

Popisy sokole we Lwowie.

(Do illustracyi na stronie 8 i 9).

Obok Sokołów pieszych sformowany został przed kilku laty we Lwowie oddział konny Sokoła. Był to jeden z pierwszych tego rodzaju oddziałów w Galicyi. Z zaczątków bardzo trudnych rozwinął się dzisiaj wspaniale, posiada własną stajnię, liczącą kilkadziesiąt koni, doskonałą arenę krytą i otwartą do ćwiczeń.

Przed kilku dniami urządził konny oddział ćwiczenia popisowe, które wypadły doskonale. Konni druhowie w połączeniu z oddziałami pieszymi przedstawili doskonały obraz życia obozowego. Rozpoczęli ćwiczenia skauci, poczem przyszły produkcye od-





Szkoła gospodarstwa domowego w Krakowie: Grupa uczenic w kuchni. Wzorowa pralnia.



Dzień sportowy w Warszawie: Skok wzwyż (250 ctm.) na popisie warszawskiego Koła sportowego.

działów karabinierów, wreszcie ogólny popis wszystkich drużyn.

Specyalnie konny oddział popisywał się w ataku w pojedynkę na „bijaki“ i „chochoły“, a na zakończenie odtańczył w 24 koni wspaniały kadryl, mający w ostatniej figurze barwny karuzel.

Przyszli śpiewacy.

Szkoła śpiewu zaszczytnie w kraju znanego artysty-pieśniarza prof. Stanisława Bursy odbyła w ubiegłym tygodniu rewię swej pracy. Bardzo liczna publiczność, wypełniająca salę Starego Teatru, dała dowody sympatyi oraz uznania, jakiemi obdarza tego pedagoga śpiewu, oklaskując życzliwie produkcye młodocianych adeptów sztuki, z których kilku przedstawiło się jako siły śpiewacze już dojrzale do zadań artystycznych. Do takich należy przedewszystkiem p. Stefania Balówna, sopran koloraturowy, rozporządzający głosem dźwięcznym, ciepłym, o dźwięku donośnym i nader sympatycznym i p. Stanisław Plutyński, baryton o głosie wielkim, doskonale postawionym, jednym z tych, które pozwalają przepowiadać świetną karyerę. Również dobrze przygotowanemi do zadań śpiewaczych okazały się p. Wanda Łątkówna, sopran liryczny, p. Ewa Kowalska, mezosopran i p. Brunona Hellerówna, alt, o aksamitnem brzmieniu, uczennice bardzo muzykalne, głosami pięknemi dobrze władające. Młodsi uczniowie i uczennice przedstawili się dodatnio i nader obiecująco ze względu na piękne materyały głosowe, racyonalnie formowane.

Praca prof. Bursy, staranna i sumienna, wsparta dobrą i celową metodą, wydała doskonałe rezultaty.



Przyszli śpiewacy: Grupa uczniów i uczenic, biorących udział w popisie szkoły śpiewu prof. Bursy.

Zjazd wychowańców sobieszyńskiej szkoły rolniczej w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 3).

W dniu 15 czerwca b. r. odbył się w Warszawie zjazd wychowańców szkoły rolniczej w Sobieszynie, z której wyszedł liczny zastęp dzielnych pracowników na roli.

W zjeździe wzięto udział około 100 uczestników, którzy zjechali się ze wszystkich stron kraju, aby odświeżyć w pamięci serdeczne nici z towarzyszami pracy szkolnej...

Punktem kulminacyjnym zjazdu było zebranie w sali hotelu „Bristol“, na którem panował nastrój bardzo serdeczny... Przy pogawędce i wspomnieniach zebranie przeciągnęło się do późna...

W dzisiejszym numerze zamieszczamy grupę uczestników zjazdu na zebraniu w hotelu „Bristol“.

Głosy publiczne.

Konkurs na rysunek. Bractwo Wydawnicze św. Józefa, istniejące we Lwowie od lat trzech, ktore w celu propagandy piśmiennictwa polskiego w duchu religijnym, członkom swym, opłacającym 3 kor. wkładki rocznej. dostarcza co roku kilka oryginalnie wydanych dzieł popularnych dla szerokich warstw ludowych pierwszorzędnej wartości, zupełnie bezpłatnie rozpisuje niniejszem konkurs na **okładkę do kalendarza,** wydawanego rok rocznie, a to pod następującymi warunkami:

Rysunek opierać się winien na motywach religijnych z uwzględnieniem swojskich motywów ludowych i nadawać się do trójbarwnej reprodukcyi. Tytuł: „Kalendarz Bractwa Wydawniczego św. Józefa we Lwowie na rok...“ może być objęty rysunkiem. Format papieru 26×16. Trzy nagrody w wysokości 80, 40 i 20 koron otrzymają autorzy najodpowiedniejszych rysunków, z których odznaczony pierwszą nagrodą pozostaje własnością Bractwa. Termin do nadsyłania prac kończy się z dniem 20 lipca r. b. przy zachowaniu zwykłych formalności pod adresem:

Bractwo Wydawnicze św. Józefa we Lwowie, ul. Skarbkowska 23.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi około 1 sierpnia

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Zadanie do przestawienia: Na złodzieju czapka gore.

Rebus: Rzymianie podbili cały świat orężem, ich potomkowie Włosi muzyką.

Łamigłówka:

K **i** t
o **k** o
o **s** a
o **w** a
r **o** k
a **b** y
w **a** r
k **r** a
a **g** a
i **ł** y
l **a** s
o **h** m
a **c** h
w **i** t
ć **m** a

Kwadrat magiczny:

P
L **o** t
B a **n** a n
B o l **i** w i a
S z e m **a** t y z m
P o n i a t o w s k i
D o s t **o** j n i k
K r a **w** i e c
K a **s** t a
A **k** t
i

Logogryf:

S
I **z** a
S i **e** r p
S e k **w** a n a
L e s z **c** z y n a
P r e s **z** b u r g
R a w **e** n n a
D u **n** a j
O **k** o
o

Logogryf:

O r k a **n**
R z e k **a**
Z a r ó **d**
E d w i **n**
S r o k **i**
Z i e l **e**
K i l i **m**
O r d o **n**
W o n i **e**
A l b u **m**

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D Sedyńska Kraków, J. Wilczkiewicz Sanok, H. Wiewiórowski Jasło, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, Z. de Boulangé Gawłówek, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Czeremchów, M. Serbeńska Budzanów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, J. Ramoszyńska Sanok, W. Siuta Widynów, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, J. Kwaśniewski Przemyśl, W. Świrski Piotrków, S. Medyński Zakopane, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, J. Charzewski Kraków, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, G. Górski Petersburg, M. Kunz Czerniowce, K. Reichenberg Cieszyn, D. Zawadzki Jasło, J. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Kalinowska Mińsk, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, J. Halski Janów, B. Sługocki Lwów, H. Radomska Kraków, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, M. Raszka Cieszyn.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **R. Gawiński Kraków**. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Sport w lecie.

Poprzednie nasze artykuły, poświęcone kwestyi mody sportowej, uzupełnić pragnę kilkoma nowymi spostrzeżeniami, dotyczącymi różnych nowych kierunków mody letniej. Coraz bardziej utrwala się przekonanie, że nowoczesne pojęcie mody włączyło w jej zakres także kostyumy sportowe, które dzisiaj są także „toaletą", bardzo ważną i bardzo potrzebną. Pogląd, że sport jest tylko przywilejem emancypantek, dawno już został zarzucony, jako zupełnie fałszywy. Przeciwnie, dzisiaj im wyższe sfery, tem większe zamiłowanie sportu, a suknie sportowe stanowią niejako część wyprawy ślubnej każdej młodej arystokratki.

Toalety kąpielowe o których pisałam poprzednio znajdują uzupełnienie w jedwabnych pończoszkach, silnie naciągniętych, małych pantofelkach o niskich



Suknia letnia z materyi *pepito*.

obcasach, na krzyż sznurowanych, lekkim batystowym gorsiecie i jedwabnych podwiązkach nieprzemakalnych. Piękne holenderskie budki, albo też pięknie związane impregnowane, jedwabne lub wełniane chusteczki trójkątne pozwalają nadać główce charakterystyczny indywidualny wygląd. Ostatecznem uzupełnieniem toalet kąpielowych jest torebka z impregnowanej materyi.

Mniej skombinowane są toalety panów. Czarny lub niebieski, jedwabny lub wełniany strój kąpielowy trykotowy, a jako uzupełnienie zamiast płaszcza kąpielowego całe ubranie *Pyjama* w paseczki żółto-niebieskie, lub niebiesko-czarne, oto cały strój.

Drugi sport, któremu dziś z zamiłowaniem się oddają, to tenis. Panowie i panie ubierają się na tenisa w szerokie, białe żakiety, z wełnistej lekkiej himalai. Panie noszą jako uzupełnienie jedwabne chusteczki na szyję, które doskonale wyglądają. W Paryżu wprowadzono nawet modę, że do tenisu panie noszą dwie jednakie szarfy, jedną jako pasek, drugą na szyi. Te *echarpes* są zazwyczaj białe i mają kolorowe, matowe paseczki, różowe, lila, *mauve,* żółte lub niebieskie. Jako zakończenie tych *echarpes* służą długie frendzle.

Suknia do tenisa składa się ze spodniczki i bluzki,



Kapelusz letni, przybrany czarnym tiulem.

skrajanych w ten sposób, aby ręce, nogi i szyja były zupełnie swobodne. Panowie noszą białe lub biało niebieskie ubrania, albo też białe spodnie i ciemne bluzki z białymi koszulami. Ostateczne wykończenie dają buciki z skórki zamszowej o małych obcasach i biały kapelusz filcowy lub słomiany.

Także turysta musi być odpowiednio wyposażony. Nie ma nic gorszego, jak na wycieczce w gó-



Suknia letnia z ciemnoczerwonej grenadyny jedwabnej z przewiązką.

rach okazuje się, że ktoś ma nieodpowiednie suknie zarówno pod względem kroju jak i wytrzymałości. U nas zwłaszcza dla wybierających się do Zakopanego i w Tatry kwestya ta jest bardzo ważna.

Otóż kostyum dla pań musi pozostawiać dla nóg zupełną swobodę, czyli spodniczka musi być z materyi angielskiej albo z lodenu, impregowanego. Może go zastąpić także angielska spodniczka, bluzka dająca się dobrze prać, oraz ciepły nie długi i niezbyt ciężki żakiet. Ten ostatni najlepiej wygląda w kolorze pastelowym, a więc jasno-zielony, *orange* przybrany niebieskiem lub żółtem. Krój powinien być z dragonikiem z tyłu, a materye tak dobrane, aby kołnierz, dragon, wykłady kieszeni, manszety i brzeg żakietu można zrobić z odmiennego sukna. Na głowę przychodzi kapelusz sportowy z zamszowej skóry zielony, szary lub drap, a więc w kolorach, które na słońcu i w kurzu nie cierpią.

Buciki powinny być mocne do sznurowania, dalej uzupełnienie wyekwipowania stanowić winna silna laska górska, oraz dobrze impregnowany worek plecny.



Suknia letnia z fularu *pepito,* przybrana białymi koronkami.

Dla panów odpowiednim strojem jest ubranie angielskie, krótkie spodnie, czapka sportowa z tej samej materyi, albo z skóry zamszowej, wełniane grube pończochy i dobrze podkute buty ze skóry cielęcej. Uzupełnia wyekwipowanie laska górska, plecak i dobra lornetka.

Jako okrycie służyć mogą płaszcze lub peleryny z lekkiego materyału impregnowanego, które można złożyć i schować w osobnej kieszeni worka plecnego.

Dla turystów wybierających się w wysokie góry potrzebne są jeszcze kamasze do owijania w formie bandaża.

Pozostaje jeszcze sport automobilowy. Tutaj toaleta nie odgrywa ważnej roli, jedynie płaszcz musi być odpowiedni, a więc lekki jedwabny, z glory lub satyni, albo też grubszy z dublu podbity jedwabiem, wreszcie z angielskiej materyi.

Na głowę ubiera się kapuzę przytrzymaną pod brodą przewiązką z wstążki. Oczy osłaniają okulary, a na nogi kładzie się zwykłe żółte buciki. *W.*

Z półek księgarskich.

Polski Przewodnik po Enropie, którego dwa wydania wyczerpały się w ciągu kilku lat, wyjdzie w jesieni w wydaniu trzeciem. Wydawca tego pożytecznego dzieła, mec. Starczewski z Kijowa, powierzył opracowanie trzeciego wydania, podobnie jak poprzedniego, dr. Mieczysławowi Orłowiczowi, prezesowi Akad. Kl. Turystycznego we Lwowie. Głównym celem książki jest obok zebrania wiadomości o tem, co zagranicą jest najbardziej zwiedzenia godnem i wskazówek praktycznych, poinformowanie Polaków o polskich pamiątkach, zabytkach i instytucyach zagranicą i stworzenie łącznika między przyjeżdżającymi z kraju turystami, a zagraniczną Polonią. Ziemie polskie wszystkich zaborów, opracowane dla tego Przewodnika, pojawią się też w osobnej odbitce jako „Przewodnik po ziemiach polskich".

Do Polaków za granicą zwraca się za naszem pośrednictwem redakcya „Polskiego Przewodnika po Europie" z prośbą o nadsyłanie do przygotowywanego obecnie trzeciego wydania, adresów polskich firm, sklepów, hoteli, pensyonatów, lekarzy, instytucyi, towarzystw, oraz opisu polskich pamiątek i zabytków. Adres wydawnictwa: Dr. Mieczysław Orłowicz, Lwów, ulica Wyspiańskiego L. 9. Wszelkie informacye pomieszczone będą w Przewodniku bezpłatnie dla użytku polskiej publiczności podróżującej.

Czerwcowy zeszyt **„Lotnika i Automobilisty"** tego pisma, które wśród ogólnej obojętności toruje drogę dwom potężnym gałęziom nauki i techniki, ukazał się jako organ oficyalny Związku awiatycznego we Lwowie. Zapewnia to miesięcznikowi pomoc literacką pierwszorzędnych sił naukowych z pośród profesorów lwowskich. Nie wpływa to jednak na zaniedbanie innych działów, nadesłany też nam numer odznacza się, jak zwykle, doborem artykułów, i stosownie dobranych illustracyi. Na szczególniejszą uwagę zasługują prace „Kwestya kierowców", temat ważny i bardzo aktualny, „Oszczędność na benzynie", relacya z „Międzynarodowej wystawy samochodów w Petersburgu", „Lotnictwo jako zawód", „Balony Parsevala" i t. p. W dziale „Wszechsport" bardzo interesujące są rady co do „Odżywiania się sportowców". Całość zamyka obfity dział kroniki i szereg wiadomości bieżących.

Ludwik Romocki: **Mazowsze,** powieść współczesna, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Na tle pól mazowieckich, po trochu w sercu Mazowsza, w murach Warszawy, rozgrywa się ostatnia powieść znanego autora. Jest to powieść wiejska. Ludzie wiejscy są jej bohaterami. Powiedziano już dawniej o autorze, że zna wieś polską i jej mieszkańców, jak mało kto z młodszej generacyi piszących. Leżąca przed nami książka potwierdza to zdanie. Tym razem, zawracając z torów realistycznych, dał nam sielankę „dla wszystkich", barwną i stylową. Miłość bohatera powieści, Władysława Skalskiego, ku „słodkiej Stasi", uczucie, które wznieca on, na odwrót, w sercu „pięknej Heli", różne przejścia fabuły, prowadzonej zręcznie i żywo, interesują od początku do ostatniej karty. Autor, zlekka tylko i mimochodem dotykając kwestyi poważniejszych, postawił sobie za zadanie nie nużyć lecz zabawić czytelnika. Wieś polska, jej otoczenie i mieszkańcy, ich praca, troski i zabawy, żyją w tej powieści, która niechybnie będzie miłym gościem w każdym domu polskim. Wydanie wykwintne, ozdobione podobizną autora.

„Poradnika teatrów i chórów włościańskich" numer: 4. 5, 6 wyszedł świeżo i zawiera:

Wiersz F. Kurasia p. n.: „Gdzie szczęście?", 1-aktowy dramat Bol. Eustachiewicza: „W styczniową noc...", oraz artykuły: Dra Adama Fischera: Polskie widowiska ludowe, Teofila Szczerby: Komedyo-opery, J. N. Kamińskiego: Scena ludowa, Franciszka Kruczkowskiego: Z zapisków reżysera, Zofii Mrozowickiej: Molier na scenie włościańskiej.

W dziale „ocen i sprawozdań" znajdujemy recenzyę nagrodzonej na konkursie sztuki S. Komornickiego: „Za Wisłę Za Wisłę ..". Zbioru wierszy patryotycznych na obchody rocznicowe, p. n. „Nie zginęła" i sztuki Kołodzieja: „Na wymiarze".

Bibliografii, korespondencye i kronika dopełniają zeszytu".

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

2

— Tak, tak, sytuacyi swojej dziś pewny jestem — nie tego się już lękam dla siebie, ale dowiedz się, księżno, że pomimo wszystkiego z innej strony i mnie i tobie grozi niebezpieczeństwo!

— Przerażasz mnie!

— Nie byłabyś sobą, gdybyś się lękać miała! A przecież sytuacya jest bardzo poważna, tu, w tym Paryżu, do którego wracasz z tryumfem, a ja czułem się już zabezpieczony, przed wspomnieniem przeszłości!...

— Mów, mów prędko, Mateuszu!

— Odpowiedz najpierw, czy pewnem jest, że mąż twój przybyć ma do Francyi?

— Najpewniejsze! Wysłał mnie naprzód, aby poczynić pewne urządzenia, gdyż pragnie, aby córka jego, opuszczając Indye, choć pozorną w paryskim pałacu znalazła ojczyznę.

— Jego córka — zaśmiał się ironicznie Gewolski. — Jego córka! Życie dziwnie się niekiedy składa. Pomyśleć, że to ty właśnie wychowałaś ją, stałaś się prawie jej drugą matką!

— Skoro śmierć zabrała jej prawdziwą matkę — odpowiedziała księżna uśmiechając się przewrotnie.— Wydaje nam się, że idziemy za własną wolą, tymczasem najczęściej włada nami przeznaczenie. A więc to przyjazd mojego męża tak cię przeraża, mój przyjacielu?

— Gdyby to tylko było! Ale w tej chwili wierz mi, Leono, znajdujemy się nad brzegiem strasznej przepaści.

— Ależ nareszcie mów, o co chodzi. Czy nie przekonałeś się już, że znieść mogę najgorsze.

— A więc ci powiem — rzekł po chwili Gewolski zmienionym głosem, a rysy jego przebiegł skurcz nerwowy — Piotr Lebomier jest w Paryżu!

— Przekleństwo — syknęła księżna.

Twarz jej, pomimo wielkiego panowania nad sobą, przyoblekła się siną bladością.

— Mówiłeś mi jednak — zaczęła po chwili urywanym głosem — że choć nie miałeś odwagi pozbyć się go na zawsze, jesteśmy w zupełności zabezpieczeni od niego. Ze człowiek ten nigdy nie powróci do Paryża, i nigdy nie stanie na mojej drodze. Bo przecież, czy nie wysłałeś go w te ciemne, niespokojne morza, gdzie tak łatwo o zatonięcie okrętu! Ah! Mateuszu! ten przeklęty gad nie powinien chodzić po świecie!

— Masz słuszność — szepnął Gewolski — ale ja zawsze cofałem się przed ostatecznymi środkami — nie przez obawę przed popełnieniem samego zabójstwa, ale przez rodzaj przeczucia, że skoro raz zabiłbym, by dojść do celu — śmierć ta stałaby mi się właśnie przeszkodą!

— Ale teraz ten nędznik może nas odszukać i nie da się już oszukać. Dziś wieczór, gdy cię ujrzałam po raz pierwszy w salonie ministerstwa, stałeś do mnie zwrócony plecami, a jednak cię poznałam. — A ja, czy bardzo się zmieniłam?

— Jesteś jeszcze piękniejszą, niż dawniej!

— A on, czy postarał się przynajmniej zmienić swoją postać.

— Nie mam pojęcia, w jakiej skórze ukaże się nam teraz, dostrzegłem go tylko przelotnie, ale zawsze jest ten sam, o dziesięć tylko lat starszy.

— Ale musiałeś pójść za nim... dowiedzieć się, gdzie mieszka! I musiałeś już zapewne przedsięwziąć wszelkie kroki ostrożności, aby nie spotkał się z moim mężem i nie wydał mu naszej tajemnicy, którą zachował jedynie tylko dlatego, że wówczas liczył na twoją pomoc.

— Czego nie uczyniłem nigdyś — wyrzekł Gewolski, zaciskając gniewnie pięści — uczynię teraz... Stanie się to tej nocy... w tej chwili już pewnie się stało!

— Ale się nie narazisz, Mateuszu! Masz pewnych ludzi?

— Ludzie i środki są tak pewne, że nikomu na myśl nie przyjdzie poszukiwać trupa tam, gdzie mu zniknąć kazałem. Leono! będziesz wolną od wszelkiej obawy! Ale przyrzeknij mi w zamian, że dawna miłość nasza ożyje!

— Oddałabym ci życie!

— Dziękuję ci. Fatalność i przeznaczenie łączą nas, a są to więzy silniejsze od wszystkich! Jesteśmy mocni i odważni, zdobędziemy nasze szczęście! Ale oto dojeżdżamy już do pałacu! Muszę cię z przykrością opuścić. Do jutra, Leono!

— Do jutra, Mateuszu!

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy doktór Gewolski powrócił do swojej małej willi na ulicy Notre-Dame-des-Champs, gdzie mieściła się jego prywatna klinika, zastał syna, oczekującego go przy wejściu.

— Dlaczego nie przyszedłeś do ministerstwa? — zapytał sucho doktor.

— Pozostawiłeś mi wolność na dziś wieczór, ojcze — odparł łagodnie syn, zrażony trochę chłodem ojca. — Wiesz, jak nie lubię wielkich zebrań.

— No, no, już dosyć, nic się wielkiego nie stało. Chciałem cię tylko przedstawić żonie.

Twarz Stanisława wyraziła zdumienie.

— Spotkałem ją niegdyś w Kalkucie, w czasie podróży mojej do Indyi — mówił Gewolski lekkim tonem — a że możliwem jest, że będziesz kiedyś w tamtych stronach, chciałem wprowadzić cię w stosunki, bardzo potrzebne młodemu człowiekowi. Ale niema nic straconego, księżna pozostaje jeszcze w Paryżu. No, a teraz idź spać!

Ale Stanisław nie odchodził i szedł pomału za ojcem do jego gabinetu.

Zdziwiło to Gewolskiego.

— Chcesz ze mną mówić, synku, pewnie zgrałeś się w karty?

— Mylisz się, ojcze. Nie tknąłem się od paru miesięcy kart, przynajmniej tak, jak ty to rozumiesz. Nigdy zresztą nie byłem wielkim graczem i światowcem, choć na oszczędność twoją nie mogę wcale narzekać. Życie spokojne, rodzinne, pociąga mnie więcej i wiem, że sprawiam ci temi słowami przykrość, mój ojcze, bo chciałbyś mnie widzieć sławnym i rozrywanym, jak ty jesteś. Ale, gdybym był poszedł tą drogą wielkości, stałbym się egoistą i...

— Czy ja jestem egoistą? — przerwał Gewolski.

— Ty jesteś wyjątkiem i doskonałością, ojcze, podczas gdy ja, przyznaję to, należę do słabych i kto wie, czy sława nie zawróciłaby mi zanadto głowy. A skoro, dzięki twojej hojności, nie jestem zmuszony wywalczać sobie karyery w świecie, chcę się poświęcić jednej tylko ambicyi: miłości i miłością tą otoczyć cię, ojcze. Sam bym to może niezręcznie uczynił, jak już czynię, ale pomyśl, ojcze drogi, gdyby nas tak dwoje było do kochania ciebie i gdyby dom twój...

— Dosyć, mój synu! — rzekł doktor, kładąc ciężko rękę na ramieniu Stanisława. — Wiem, że tego roku, zamiast być w Dinard, jak ci nakazałem, udałeś się do Saint-Lunaire i znalazłeś tam miłostkę... jakąś dziewczynę bez znaczenia...

— To jest najmilsza, najszlachetniejsza dziewczyna, ojcze!

— Bez frazesów z romansu, mój drogi. Chcę wierzyć, że ta panna Lusia jest zachwycająca i bezinteresowna. Ale co do rodziców! Jak się ma dwie córki bez grosza posagu, z których jedna pracuje w telefonach, a ojciec jest lichym podrabiaczem fałszywych obrazów...

— Ojcze! to kłamstwo!

— Proszę cię, wysłuchaj mnie do końca! Więc skoro rodzice pozwolili na twoje zbliżenie do dziewczyny, tem gorzej dla nich. Sądziłem, że chcesz z niej zrobić kochankę, ale żonę! o nie!

— Ojcze, mój ojcze — błagał Stanisław. — Rodzice tej panienki są najzacniejsi ludzie i dziś wieczór właśnie zapytywał mnie ojciec...

— Czy się z córką ożenisz. Nie, mój synu! Stanowczo nie! A teraz idź spać, bo późno.

Trup.

Sławny doktor Mateusz Gewolski był źródłem ciągłego zdumienia dla swojego młodego laboranta Antoniego. Dwa lata temu doktor w cudowny prawie sposób wyleczył go z niedobrej rany, zadanej nożem. Chłopak był już na śmierć przygotowany, gdy Gewolskiemu przyszła myśl wypróbować na nim swojej nowej metody leczenia radium i elektryczności. W klinice, w której później leżał Antoni, wielkie uwielbienie dla mistrza spotężniało jeszcze, bo jak tylko przyszedł cokolwiek do sił, Gewolski używał go do pomocy w pracy swojej, a już w parę miesięcy dał mu wielki dowód zaufania, bo oddał pod całkowitą jego pieczę laboratoryum, do którego nikt obcy wstępu nie miał. W tem to laboratoryum doktor Gewolski oddawał się z całą namiętnością poszukiwaniom naukowym na trupach zwierząt, a niekiedy też na ludzkich trupach, dostarczanych mu w tajemniczy sposób z któregoś szpitala. I stało się, że pod wpływem silnych prądów elektrycznych i magnetycznych trupy te nabierały pozorów życia na chwilę, co utwierdzało zdumionego służącego w przekonaniu, że pan jego posiada w rękach władze, silniejszą od śmierci. Ale z jedną rzeczą Antoni absolutnie pogodzić się nie mógł; doktor prawie nigdy nie sypiał, a zdrowie jego nie cierpiało na tem wcale. Wróciwszy około drugiej zazwyczaj z miasta, pracował jeszcze parę godzin i zaledwie na chwilę zasypiał nad ranem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zaledwie szósta godzina wybiła, gdy w uliczce rozległ się przyspieszony bieg automobilu i prawie natychmiast zatrzymał się przed pawilonem. Antoni wyszedł na spotkanie pana ze światłem, bo jesień już była późna, a dzień dopiero rozjaśniał się około godziny ósmej.

— Będę dziś dłużej pracował — rzekł Gewolski, wchodząc do przedsionka — odpraw automobil.

— Jestem zadowolony z ciebie — zwrócił się po chwili do służącego, obejmując wzrokiem obszerną pracownię z wymytymi świeżo marmurowymi stołami, na których lśniły zdaleka ułożone symetrycznie narzędzia chirurgiczne.

Antoni skłonił się, uradowany z pochwały.

— Idź po dzienniki, zabawię tu dzisiaj dłużej, bo zdaje się, że będę zmuszony czekać na „niego".

— Oho, to będziemy coś dobrego mieć w pracowni — zauważył służący, mrużąc znacząco oczy. — W takim razie lecę po dzienniki, a potem się ulotnię.

Było bowiem już dawniej umówionem, że kiedy ze szpitala przynoszono z wielkiemi ostrożnościami trupa, służący miał się nie pokazywać ludziom, oddającym tą przysługę doktorowi i nie zadawać swojemu panu żadnych pytań, co do pochodzenia zwłok. Antoni więc, pogwizdując, wybiegł szybko na ulicę, a Gewolski udał się do ostatniego pokoju w pawilonie, wychodzącym na puste i obszerne pola. Stanął przy oknie i czekał. Za chwilę dobiegł go stłumiony, powolny turkot wozu i trzykrotne wołanie puhacza. W odpowiedzi doktor zagwizdał przeciągle. Cienie jakieś szybko przeszły pola, dzielące je od pawilonu. Niosły one długi ciężar, owinięty w czarne płótno.

— Zrobione? — zapytał Gewolski głosem, w którym przebijał się niepokój i radość.

— I dobrze zrobione — odpowiedział jeden z przybyszów.

— Nawet nie stęknął — rzekł drugi. — Ale, jeżeli wam, mistrzu, zależało na pozbyciu się go, można go było odrazu wykąpać w Sekwanie.

— Milczeć! — nakazał doktor.

Wtedy ludzie unieśli ciężar, przez okno wsunęli do pokoju i zanieśli na stół sekcyjny. Doktor otworzył portfel i wyjął z niego trzy banknoty tysiącfrankowe, ale zanim je wręczył, podszedł do trupa i uchylił sukno.

— Czy to on napewno? — zapytał starszy z trzech opryszków.

Doktor nie odpowiedział nic, tylko wsunął mu do ręki banknoty i rozkazał wyjść.

Zamknąwszy okno, Gewolski długą chwilę z pewnem niezadowoleniem przyglądał się twarzy trupa, tej twarzy niegdyś kochanej, z którą łączyły go wspomnienia z dalekiej młodości.

— Ty głupcze! — wyszeptał z żalem. — Ale tem gorzej dla ciebie! Tem gorzej! — powtórzył twardo.

Zwrócił się do stołu, gdzie leżały poukładane symetrycznie chirurgiczne narzędzia. Wybrał cienki, błyszczący skalpel i powrócił do zwłok. Podniósł rękę śmiałym, pewnym ruchem obeznanego ze swoją czynnością chirurga i opuścił ją na piersiach trupa, w miejscu, gdzie niedawno jeszcze drgało serce, gdy nagle cofnął się w tył zdumiony.

— Gdzież jest jego blizna? - wyszeptał z trudem. Blizna, którą tak znał dobrze i która tu być powinna! Ta blizna, którą tyle lat temu sam zeszywał!

— A więc to nie on!

Ah! jakże głupim był! jak bardzo głupim, skoro zwieść go mogło do tego stopnia podobieństwo dwóch braci, bliźniąt!

— I nie pamiętałem o tem, ani przez chwilę! Kazałem tego porwać... kiedy tamten... tamten! Ale gdzie był tamten? Czy znajdował się chociaż w Paryżu?

Upłynęło kilka minut, Gewolskiego opanowała jakaś apatya bezdenna, niepamięć tego, co go otaczało. Nagle ocuciła go błyskawiczna myśl, że tylko rozwaga i zimna krew uratować go może! Tajemnica jego młodości nie może zostać odkryta!

— Tem gorzej więc i dla ciebie, mój chłopcze — zgrzytnął wściekły i zupełnie już przytomny i silny nachylił się nad trupem i ciął z mocą poniżej lewej piersi.

Ale tej samej chwili z ust „szpitalnego trupa" wybiegło lekkie westchnienie, a ręce jego instynktownie podniosły się ku małej ranie, broczącej krwią. Oczy nieznajomego rozwarły się szeroko i spoczęły nieprzytomne, mgliste, na twarzy pochylonego nad nim Gewolskiego.

— Gdzież jestem? Ratunku! Ratunku! Nędzniku! — zawołał dyszącym, rwącym się głosem.

Uniósł się nad stołem i usiłował wyrwać z rąk doktora zbrodnicze narzędzie. Zawiązała się zacięta walka. Gewolski, chcąc uwolnić rękę z zesztywniałej dłoni człowieka, szarpnął silnie. Ciało potoczyło się na podłogę; tu uchwycili się obydwaj za szyje, dusząc się wzajemnie.

W tej chwili wbiegł do przedpokoju Antoni, wołając radośnie:

— Mistrzu! są dzienniki!

Lecz usłyszawszy niebywały łoskot i charczenie w laboratoryum, nie pytając się o pozwolenie, szybko otworzył drzwi

— A to co? — zawołał ze zgrozą. — Trup był żywy!

— Do mnie, Antoni! do mnie! — wołał doktór.

Jednym skokiem służący znalazł się przy nieznajomym, uchwycił go z tyłu za szyję, szarpnął i rzucił o podłogę. Głowa nieszczęśliwego, uderzając o kamienie, wydała głuchy odgłos.

Lecz doktor Gewolski nie mógł skorzystać z chwilowej nieprzytomności, gdyż sam, ledwie oddychając, leżał pod stołem, z pod którego z trudem wydobył go Antoni. Otworzył on okno i ułożył swojego pana w szerokim, skórzanym fotelu.

— Zamknij natychmiast okno, głupcze — wyrzekł cicho doktor, wchłaniając w siebie ożywcze ranne powietrze, które mu szybko powróciło utracone siły.

— Nikt tedy o tej godzinie nie przechodzi — odpowiedział służący. — Ale to ładną komplikacyę mamy, mistrzu?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

W miejsce kwadratów i cyfr wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane od szóstego rzędu do góry, następnie na dół, znowu szósty rząd i od niego ku dołowi, utworzą znane polskie przysłowie.

□	3	9	14	1
□	□	2	7	14
□	14	□	8	3
□	4	7	□	4
□	15	7	5	□
□	□	□	□	□
6	10	13	3	□
□	11	16	□	12
□	7	□	4	9
□	□	11	14	8

Znaczenie wyrazów: 1. Słynny powieściopisarz węgierski. 2. Wyspa w Europie. 3. Przysłowek. 4. Mówca ateński. 5. Listy papieskie (wspak). 6. Ulica w Warszawie i Krakowie. 7. Pierwiastek chemiczny. 8. Miasteczko litewskie (wspak). 9. Miasto w Rosyi. 10. Wyznanie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Hibl, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nam początkową głoskę imienia i nazwisko polskiego literata i krytyka.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Owad błonkoskrzydły. 3. Owad z rodziny grabarzy. 4. Ryba. 5. Znane drzewo. 6. Płyn tłusty. 7. Roślina ozdobna. 8. Głos węża. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

N. Trzoda gore w piecach.

Bilety wizytowe.

Ułożył W. M.

Z liter na wizytówkach utworzyć nazwę kraju i miejsce zamieszkania odnośnej osoby.

ŁUCYA TAMCZALIG

LIDYA C. GARYCHÓWNA

LIDYA LINA BRUND

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Co? I to drzewo do Zana? Ton.

Przeplatanka.

Ułożył W. M.

Z podanych liter ułożyć trzy nazwiska polskich literatów, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

	a		a		a	
a	a	a	c	c	e	e
	i		i		i	
i	i	i	k	k	k	k
	k		p		p	
r	r	r	s	s	s	t
	t		t		t	

Szarada.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znane wszystkim *pierwsze-czwarte*,
Mają różne synonimy,
Zwykle zaś na *drugie-czwarte*
Poświęcają drzew olbrzymy.
Trzecią zgłoskę, bez znaczenia,
Przyimek w rzekę zamienia,
Cały pośród mistrzów słynie,
Sława jego nie zaginie.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ludwika Romockiego:* **Mazowsze.** Powieść współczesna.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.